

AGTIF

AGENCJA TEATRALNA i FILMOWA ZAIKSU

AGENCE THÉÂTRALE ET CINÉMATOGRAPHIQUE DE LA ZAIKS

Warszawa, Śniadeckich 10

Telefon N° 856-00

Adres Tel.: ZAIKS-WARSZAWA

223

JOANNA PORASKA ROMANOWA.

KUCHNIA NA TRZECIM PIETRZE.

K o m e d j a.

**Egzemplarz dla reżysera i suflera. Powielony jako rękopis,
bez prawa odsprzedaży. Wszelkie prawa autorskie i przekładu
zastrzeżone.**

Egzemplarza tego nie wolno sprzedawać, wypożyczać, kopjować, ani też
puszczać w obieg w jakikolwiek inny sposób. Prawo publicznego
wykonania tego utworu w Polsce można uzyskać wyłącznie w

AGENCJI TEATRALNEJ i FILMOWEJ ZAIKSU

AGTIF

Warszawa,

Tel. 856-00

Śniadeckich 10

Odbiorca winien niezwłocznie zwrócić egzemplarz, gdyby nie
zamierzał utworu tego wystawić. Przekroczenie tych warunków stanowi
naruszenie przepisów Ustawy o Prawie Autorskim
z dnia 29 marca 1926 r. (Dz. U. R. P. z dnia 25.4.35 Nr. 36 poz. 260).

JOANNA PORASKA ROMANOWA.

KOCHNIA NA TRZECIM PIETRZE.

K o m e d j a.

Akt I dzieje się w zimie 1943 roku.

Akt II w parę miesięcy później.

Akt III na wiosnę 1946 roku.



O S O B Y:

KASIA	Docent Uniw., lat 29,
PROFESOR	jej ojciec, lat 70,
KRZYWOPŁOCKA	wdowa, lat 45,
CELINKA	jej córka, lat 15,
JADWIGA	lat 17,
SAPALSKA	lat 35,
MICHAŁ	lat 40,
MICHAŁOWA	lat 30, jego żona,
DRYCHLEWICZOWA	lat 49,
DOZORCA WOJCIECH	lat 65,
EWA	lat 28,
MAREK	lat 30.

.....

Kasia: Wysoka, szczupła brunetka, ubrana biednie i trochę klasztornie. Zawsze czarno, z odrobiną białego przy szyi i mankietach. Łagodna, mełomówna, niezmiernie opanowana, Musi się ją szanować.

Profesor: szczupły starzec z orlim profilem, piękne, białe, faliste włosy. Czarujący starszy pan.

Sapalska: Świetnie ubrana, pyskata, mówi jazgoczącym dyszkantem, wulgarnie przystojna, jeszcze młoda i warta grzechu.

Michał: Łysy, z małym brzuszkiem, bardzo zakochany w sobie.

Michałowa, Stasia: Żadna, zero, bardzo zakochana w Micha-le.

Cika: Gruba 15-letnia dziewczynka w okularach, trochę śmieszna, w gruncie rzeczy mądra i bardzo dobra.

Bardzo jeszcze dziecinna.

Marek: Zamysłony, uduchowiony, bardzo dodatni, więcej, niż piękny, Aniołowaty na smutno. Lat 30.

Ewa: Młoda, brzydka, zgrabna, szalony tupet, pikantna.

Drychlewiczowa: Wysoka, lat 50, bardzo zniszczona, świetnie ubrana, łeb pełen czerwonych loków, uczesana do góry.

Palce pełne pierścieni. Głos wulgarny.

Krzywopłocka: Sympatyczna wdowa, lat 45, nie umie mówić inaczej, jak jęczącym, skamlącym głosem. Poczciwa i nudna.

Jadwiga: Ładna panna, różowa i piewewłosa.

Dozorca: Stary, z dużymi wąsami, siwy.

/Kuchnia w dość nowoczesnym domu. Nawprost sceny drzwi na schody. Z lewej okno, z prawej drzwi do przedpokoju. 2 szafy wpuszczone w ścianę, jedna uchylona druga zawsze zamknięta. Łóżko pod ścianą z prawej, żelazne, przykryte kocem. Duży stół, zlew, 4 kuchenne stołki. Na przedzie sceny kuchnia, pod blachą się pali obok mała gazowa kuchenka, ta zastawiona rendlami. W oknie firanka w kwiatki do pół okna. Zaciemnienie. 2 drzwi. Profesor i Cika zmywają naczynia z obiadu w emaljowanej wanience/.

S c e n a I.

Profesor, Cika.

Cika: Proszę niech dziadzius pozwoli, ja umyję.
a dziadzius będzie wycierał.

Profesor: Dziękuję ci dziecino, przecież ta robota do mnie należy.

Cika: Należy, czy nie należy, ale ja w tej chwili mam czas. Króliki obrządziłam, węgla nanosiłam dla wszystkich lokatorów. Podłogę w kuchni umyłam.

Profesor: Musisz być bardzo zmęczona.

Cika: Wściekle. Kręgosłup mam, jak przełamany. Jeżeli ta wojna potrwa jeszcze długo, to już zidjocieję do reszty. Przecież ja już rok nie chodzę do szkoły.

Profesor: Ja też...

Cika: / Smiejąc się / . Myślałby kto, że pan profesor się uczy. / Profesor wypuszcza z rąk talerz i tłucze go / . Jezus, Maria, nie mówiłam? Niechże dziadzius odpocznie. W tym wieku

harować za młodszą do wszystkiego, to przecież niktby nie wytrzymał.

Profesor: /zmartwiony, siada na stołku/.

No widzisz, jestem do niczego, no widzisz...

Jestem tylko ciężarem dla tej biednej Kasiuni.

Ciągle jestem chory. Ot, stary gruchot.

Właściwie powinienem iść na ulicę, trzepać Niemca w zęby i niechby mnie zastrzelił.

I śmierć piękna i użyłby człowiek przed śmiercią.

Cika: O święty Jacku z pierogami, co ten dziadzius wygaduje? Wszyscy przecież pana tak kochają! Ja też mówię do pana dziadziusiu, chociaż nie jesteśmy rodziną. A pani Kasia tak strasznie pana kocha!

Profesor: O, Kasia! /Z zachwytem kiwa głową/.

Cika: Tak, pani Kasia to cudo, a też się strasznie męczy. Co w tej wojnie jest najobrzydliwsze, to to, że wszyscy robią to, czego niecierpią. Pan, taki wielki skrzypek i taki staruszek, i sprząta, jak służąca. Ja, zamiast być na pensji, dźwigam węgiel i drzewo rąbię, pani Kasia zamiast być na Uniwersytecie, uczy bałwanów angielskiego, a moja mama, zamiast mieć dobrego męża idom, sprzedaje bieliznę po cudzych domach. Tylko ta Drychlewiczowa z parteru robi to, do przed wojną.

Profesor: /nieprzytomnie/. A co?

Cika: Puszcza się.

Profesor: Wstydz się, Cika.

Cika: Co- wstydz się, Cika? Dziadek myśli, że ja sam święty, to wszyscy tacy.

A babsko puszcza się, aż hej! Tylko, że przed wojną z pólakami a teraz z niemcami. No, co się dziadziuss patrzy? Przecież to prawda.

Profesor: Ja wiem, że prawda. Tylko mi żal, że ty już tyle wiesz. Przecież masz niecałe 15 lat...

Cika: /szorując rondel/. A bo to prawda? Komuż to wojna pozwoli, żeby długo był dzieckiem?

Profesor: To prawda. /gładzi ją po głowie/.

Cika: Przecież ja muszę być dorosła za moją mamę i za mnie. Odkąd zabili tatusia, mama tylko jęczy i jęczy. To jest ję jedyne zajęcie. Właściwie, to ona jest moją córką. I taka niezaradna.

Profesor: Ty jesteś z tego gatunku, co Kasia.

Cika: E, gdzie mi tam do niej! /chwila ciszy/.
Proszę dziadka.

Profesor: No?

Cika: Jak dziadek myśli, czy pani Kasia robi w podziemiach?

Profesor: Czy gdzie robi?

Cika: W podziemiach. W konspiracji. Strasznie jestem ciekwa.

Profesor: Nic o tym nie wiem, moje dziecko,

Cika: Tak, no, naturalnie. Mnie nikt nic nie chce powiedzieć. Dlatego, że ja tak strasznie głupio wyglądam. Ale jabym nie powiedziała nikomu. Mamie najmniej. Mama to po całych dniach umiera ze strachu. Teraz tu już wszystkich zna, chociaż tupełne mieszkanie lekatorów. Ale z początku, to własnego cienia się bała. Ale mamusia jeszcze się taknie boi, jak pan Michał.

Profesor: Co ty mówisz?

Ciką: Ja dziadziusiowi opowiem.

/Dzwonek, drugi dzwonek/.

Cika: Oho, już się zaczyna schodzić menażerja.

/Idzie otworzyć do przedpokoju/.

Scena II.

/Ci sami i Michał. Wchodzi, celebrując i wraca. Zachowuje się stale, jak wiejski proboszcz na kazaniu, mówi wyjązwniw banałami/.

Moje uszanowanie, moje uszanowanie. Cóż to, mojej połowy jeszcze niema? To może państwo pozwolą, że ja chwileczkę posiedzę przy piecu. W pokoju tak zimno.

Profesor: Prosimy, naturalnie.

/Trzy dzwonki/.

Cika: Aha, to moja mama. /Wybiega do przedpokoju/.

Michał: Jakże córeczka pana profesora?

Profesor: Kasia? Bardzo pracuje. Cały dzień na mieście. Żebyśmy gdzieindziej mieszkali, to rozumiem. Przyszliby do niej. Ona tak świetnie uczy. Ale ktoś przyjedzie na daleki Mokotów? Poza tym ma te tajne komplety. Za duży czas traci na przejazdy i przez to mało zarabia.

Michał: Pan profesor słyszał coś nowego z polityki?

Profesor: Ja? Nie.

Michał: /przysiada się bliżej profesora i mówi duniącym szeptem/. U nas w organizacji mówią, że Rosja tę wojnę przegra.

Profesor: E, co też pan mówi? Naprawdę?

Michał: Jaż Boga kocham. To zresztą zrozumiałe, jeśli wziąć w rachubę...

Scena III.

/wchodzą Cika i Krzywopłocka/.

Krzywopłocka: /jęczącym głosem/. Dobry wieczór. O, moje nogi, moje nogi! Cika, ratuj, daj mi te najstarsze pantofle. O, jak minogi spuchły. Żeby to nieboszczyk mąż widział!

Cika: /klęka przed matką, zdejmując jej buty, podaje pantofle i masuje łydki/. Moja biedna, moja stara, moja niedożęta kochana...

Krzywopłocka: /sięka nosem, wyraźnie ma ochotę beknąć/.

Cika: No, tylko się nie mazgaj. Nos ci spuchnie. Zamąż cię już nie wydam.

/wszyscy śmieją się/.

Michał: Jakże tam dzisiaj poszło? Sprzedała pani co?

Krzywopłocka: /z jękiem/. A wie pan, dzisiaj nic a nic. Czasem to jakoś idzie. A dzisiaj to poprostu jakby ktoś zaczarował. Widocznie dlatego, że dzisiaj w nocy śnił mi się zielony krokodyl.

Michał: Sen mara, Bóg wiara.

Krzywopłocka: Ja sobie, wie pan, idę przez las, a tu nagle wyłazi ogromny zielony krokodyl. I do mnie. Ja uciekam i nogi, jak z kamienia. Obudziłam się z takim krzykiem. Bo ja, proszę panów, jestem sercowa. A teraz, co coraz gorzej. Chodzę po piętrach i dlatego.

Cika: Nic, mamuś, uszy do góry. Od jutra idę znowu do fabryki pudełek. Po powrocie, będę kopać ogródek, jak się ociepli. No isprzątać, bodziadziowi trzeba dopomóc.

Scena IV.

/Profesor, Michał, Cika, jej matka, wchodzi Sapalska/.

Sapalska: /w futrze i kapeluszu/. Dobry wieczór! A psiakrew, cholera, cóż to zachamy w tych tramwajach, coś okropnego. Porządne futro potarmoszą, pończochy podrą temi keszykami, szmuklery zapieprzone. Człowiekowi jeszcze tylko te trzy futra zostały... /podchodzi do kuchenki i rusza garnkami/.

Michał: Wie pani, ja uważam, że oni też mają zasługi. Polska by poprostu bez szmuglerów umarła z głodu.

Sapalska: Panbyś chciał figurować na pomniku z gęsią pod pachą, co?

Michał: O, ja to zupełnie co innego!

Sapalska: Tak, wiem. My z kenspiracji, u nas w organizacji...

Michał: Ciszej, na miłość boską....

Sapalska: /do Ciki, która obiera kartofle/.

Cikunia, rzuć te kartofle, przypilnuj mi omletu

z kiełbasą, jest na gazie, idę się przebrać.

Jasiulek zaraz będzie. Dam ci coś dobrego.

A psiakrew, jakiś gówniarz w tramwaju tak się okropnie pchał, że aż mi jajka potłukł. Raz, dwa, no, reszta cała. Lecę. /wybiega do przedpokoju/.

Cika: /staje przy gazie z widelcem/.

Panie profesorze jak się nazywał ten nieboszczyk grecki, co się tak ciągle męczył?

Profesor: Ten, co się męczył? To chyba Tantal, kochanie.

Cika: No, tonieboszczyk Tantał, proszę Dziadziusia, jest przy mnie zwykłym szczeniakiem.

Michał: Dlaczego, proszę drogiej pani?

Cika: A, bo proszę drogiego pana, od 2 tygodni żyjemy kartoflami.

Krzywopłocka: Cika, wstydz się. Żeby to nieboszczyk...

Cika: I ciągle chodzę głodna. Więc, jakmi każą w tych warunkach pilnować patelni, pełnej kiełbasy, to

niech się Tantal schewa. Gdzie mu tam do mnie.

/Dzwonek/.

Michał: Oho, pewnie Jasiulek. Sapalska nigdy się nie myli. Pewnie poleci otworzyć.

/Za uchylonemi drzwiami do przedpokoju głos Sapalskiej, zupełnie inny, niż ten kuchenny, miodowo-miłosny./

Sapalska: Jasiulek, szczęście moje, chodź jedyny, zaraz będzie omlecek. Niuteczka zrobiła pyszny omlecek dla Jasiuleczka. /Trzaśnięcie drzwiami, śmiech w kuchni/.

Profesor: Zaraz wróci i będzie przeklinała. Jaki ta kobieta ma talent. Przecież to jest świetna aktorka. Ten człowiek nawet się nie domyśla, że ona w kuchni jest zupełnie inna. Ja osobiście podziwiam każdą sztukę.

/Pukanie do drzwi. Na progu przedpokoju staje Ewa/. /Panowie wstają. Ewa jest dobrze ubrana, kapelusz z woalką/.

Ewa: Przepraszam, jakaś pani mi otworzyła. Czy tu mieszka pani Cichocka?

Profesor: Tutaj, To moja córka. Zaraz przyjdzie. Proszę, niech pani siada.

Ewa: /siada/. Panie profesorze, pan mnie nie pozna-
je? Ja jestem przyjaciółką Kasi, pan mnie prze-
cież huśtał na kolanach, jak byłem mała.

Profesor: /chwila konsternacji, bo wcale nie zna Ewy/.
Ach, ach? Tak, tak, naturalnie, naturalnie.
Proszę, niech pani siada. *Czyta rękę Ewy.*
Czy pani będzie mogła u nas przenocować. Bo
Kasia wraca prawie o samej godzinie policyjnej.

Czasem nawet po. Wtedy bardzo się o nią nie-
pokoję.

Ewa: /z ogromną ulgą/. Ach, tak, oczywiście, że bę-
dę mogła, nawet będę musiała, bo już nie zdążę
do domu, a ja właśnie przyjechałam z Krakowa
i zatrzymałam się na tym....na Żoliborzu.

Michał: Pani pozwoli... dracki jestem. /mamrocze naz-
wisko pod nosem/. Pociąg z Krakowa to podpbno
przychodzi rano?

Ewa: Czy mogę prosić o ogień?

Michał: Służę pani, naturalnie.

Ewa: Proszę, czy panowie palą?

Michał: Dziękuję. /bierze papierosa/.

Profesor: Dziękuję pani. /bierze papierosa i zapala/.

Scena V.

/Ci sami i Sapalska/.

Sapalska: /wpada/. A cóż do ciężkiej cholery, czy ta
kiełbasa się usmaży, czy nie?

Krzywopłocka: Oj, Niutexzko, jak ty przeklinasz! Gdyby
to nieboszczyk mąż widział.

Sapalska: Toby powiedział: Przestań jęczeć, moja Helenko.

Krzywopłocka: /bardzo dotknięta/. A czyż ja jęczę?

Także coś!

Sapalska: /dłubiąc w rondlu/. Jęczysz, psiakrew, od rana
do wieczora. Co dziwnego, że nie sprzedać nie
możesz. Jaby m marcepanów nie chciała, żeby mi
je takim głosem proponowano.

Cika: Ale moja mama nie jest taka zdrowa, jak pani..
I nie odżywia się omletami z kiełbasą.

Sapalska: Każdy się odżywia tak, jak zarobi. Ja tam ni-
komunie daję, ale od nikogo nie potrzebuję.

I niech mi do jasnej cholery, nikt w garnek nie zagląda./ wylatuje, unosząc z sobą tacę, pełną smakołyków. Za drzwiami, salonowym głosem:/ Jasiulku, otwórz drzwiczki, jedyny kolacyjka dla ciebie jedzie. /Słychać otwarcie i zamknięcie drzwi/.

Ewa: Czy tu u państwa zawsze tak wesoło?

Cika: Czasem jeszcze weselej.

/wychodzi Krzywopłocka/.

Scena VI.

/Wchodzi Kasia, profesor zdejmuje jej letnie palto. Kasia siada i wylewa wodę z półbucików./

Kasia: Jak widzicie, jest odwilż.

Cika: Ojejm, ale się napiły! Ja pani przyniosę pantofle z pani pokoju.

Michał: Ja też właśnie, bo mam wrażenie, że żona już przyszła. /wychodzi/z Ciką/.

Scena VII.

/Kasia siedzi nachylona nad mokrym butem, z kąta podchodzi Ewa/.

Ewa: Kasiu!

Kasia: Ty? /wstaje szybko i przytula ją mocno do siebie/. Tatusiu, zamknij drzwi i uważaj, czy kto nie idzie.

Profesor: /staje przy drzwiach i odbiera pantofle nocne, które podaje mu dla Kasi Celinka. Podaje pantofle Kasi./

Kasia: /wkłada pantofle/. Bałam się o was. Podobno byłou was gorąco.

- Ewa: Było. Wydostałam się jakoś. Opowiem ci później.
To mieszkanie jest pełne ludzi. Czy ja tu mogę spać?
- Kasia: Musisz. Już po godzinie policyjnej. Tylko, że... tu nie jest bardzo bezpiecznie.
- Ewa: /siada nagle bardzo zmęczona/. Teraz już nie na to nie poradzimy.
- Profesor: Nic. Jutro Kasia może dostarczy pani nowe dokumenty, jeżeli pani ich potrzebuje.
- Ewa: Możesz to zrobić, Kasiu?
- Kasia: Mogę. Ale parę dni posiedzisz tu. Nic teraz nie mów. Odpocznij. Coś zjemy. Nie pesz się tym, że do drzwi może ktoś pukać po policyjnej godzinie. Sąsiedzi często pó coś przychodzą. Tu jest ciepło, więc tu się często siedzi i rozmawia. Rozbierz się isiadaj. /Ewa siada przy stole./. Tatusku, co mamy do zjedzenia?
- Profesor: Zaraz, kochanie. Są płatki owsiane i mleko.
- Kasia: Jakoś się podzielimy. Dlaczego jest tak dużo chleba? Znowu nie jadłeś, bo zostawiłeś dla mnie, co?
- Profesor: A wczoraj ty zostawiłeś dla mnie. /Kasia całuje rękę ojca, która leży na stole/.
- Ewa: O, jak tu dobrze! Już mi znacznie lepiej. I ciepło....
- Kasia: Gdzie Marek?
- Ewa: Nie wiem. Nie patrz tak na mnie.
- Kasia: Jakże to może być?

Ewa: Nie wiem, no, nie wiem.

Profesor: /Gładząc ramię Ewy/. Cicho, niech pani teraz nic nie mówi, bo jeszcze ktoś wejdzie. Niech się pani niczym nie przeraża. Tu różni ludzie mieszkają. Na dole zwłaszcza jest jęna okropna baba.

Kasia: Na szczęście straszliwie głupia. Musisz mi opowiedzieć wszystko, jak nikogo nie będzie.

Ewa: Muszę. Już tak dawno nie mówiłam nikomu prawdy. Co to będzie za ulga.

/chwila milczenia. Jedzą, siedząc przy stole/.

Scena VIII. /ci sami i Krzywopłocka/.

Krzywopłocka: /wsuwa się z przedpokoju/.

Czy mogę teraz coś ugotować, pani Kasiu?

Profesor: Prosimy bardzo. Naturalnie.

/Krzywopłocka staje przy kuchni gazowej na samym froncie sceny z łewj i miesza w rondlu/. Znów chwila ciszy. Nagle ostre pukanie do drzwi na schody. Ewa drga i odkłada łyżkę. Kasia uspakaja ją wzrokiem.

Kasia: Kto tam?

/Głos Drychlewiczowej z za drzwi/.

Drychlewiczowa: To ja, czy mogę wejść? Ja tylko na chwileczkę.

Kasia: /Zrezygnowanym głosem/

Proszę. /podchodzi do drzwi i otwiera je/.

Scena IX. /Ci sami i Drychlewiczowa/

Drychlewiczowa: /wchodzi w jaskrawej, zielonej, wieczorowej sukni, długiej do ziemi, na którą jest narzucony brudny, krótszy szlafrok. Typowa stara frądra w pretensjami. W uszach kołczyki/.

Krzywopłocka: /z nad rondli/ Zielony krokodyl!

Profesor: O, tak!

Drychlewiczowa: Że co?

Profesor: Nic, proszę pani, tak sobie rozmawiamy.

O polityce. Dobry wieczór.

Drychlewiczowa: /siada na łóżku, nie szekając na zaproszenie./ Dobry wieczór. Ach, chwileczkę posiedzę, tak mnie te nowe pantofle okropnie cisną. Masę gości mam dzisiaj. Właśnie się zjechali. Będą naturalnie nocować. Nie mogę ich nauczyć, żeby nie zajeżdżali z takim szumem. Cały dom się przetrząsa. I tak mnie tu na ozorach obnoszą.

Ewa: /drga znowu i patrzy na nią spłoszona, ale stara się opanować.

Drychlewiczowa: Co to, panie ma także gościa? Niech się pani nie obawia, to sami moi! Pani pozwoli, Drychlewiczowa jestem. Pani tu mieszka?
/Wyciąga rękę do Ewy, która podaje swoją/.

Kasia: Nie, na parę dni przyjechała do mnie.

Ewa: Z Krakowa.

Drychlewiczowa: Wszyscy dziś są. ■ Oberscharführer Szulc i Herbert i Fitzig z żoną. Urocza kobieta. Co za kultura! Zachód, zachód, to zaraz widać.

Krzywopłocka: /z nad rondli/. O, tak.

Drychlewiczowa: Ja się tak broni boję, a oni mi zasypali przedpokój rozpylaczami. Coś okropnego. Ciągłe się boję, że coś mi samo wystrzeli. Taka sterta, o, proszę państwa. Leży, jak snopy. Pani Kazia bardzo zmęczona.

/przed ostatnim ~~zakończonym~~ zdaniem chwila ciszy, bo nikt nie podtrzymuje tej pasjonującej rozmowy/.

Kasia: Uhm.

Drychl. /Kiwa głową ze współczuciem/. Pewnie pani znówu pieshotą przez całą Warszawę...

Kasia: Uhm...

Drychl. Kolacyjkę państwo jedzą?

Kasia: Uhm...

Profesor: /wytworny, jak zwykle/. Może pani będzie łaskawa nas poinformować, czym pani wolno służyć?

Drychl.: Ach, rany boskie, jakąż jestem roztrzępana. Octu chciałam pożytyć. Galaretę na stół mam podać- w domu octu niema.

Profesor: /do Krzywopłockiej/. Gdzie to my mamy ocet, pani Heleno?

/Idą razem do szafy z lewej i tam szukają/.

Drychl.: Ja robię takie skromniutkie przyjęcie. Cztery rodzaje ryby, galareta, sznycle, sarnina i krem czekoladowy. Teraz tak trudno o produkty. A oni bardzo lubią dobrze zjeść. Trochę mi zawsze przywiozą. Oni tak ciężko pracują.

Profesor: /Łagodnie/. Przy tym biciau?

Drychlewiczowa: Ach, fe, panie profesorze, przy jakim biciau? To tacy wspaniali ludzie. Oni wcale nie robią takich rzeczy. To może inni. Ale ci. Skąd? A co to za mężczyźni! Jacy przystojni. Zupełnie co innego, niż nasi. /Kaskotliwy śmieszek/. Podobnej kolacji robią się tak serdeczni. Pani Heleno!

Krzywopłocka: Słucham.

Drychl.: Proszę powiedzieć panu Michałowi, że można by uwolnić z Pawiaká tego jego kuzyna, ale Szulc chce za to 45.000. /w drzwiach staje Cika/.

Scena X.

/Kasia, Ewa, Profesor, Cika, Krzywopłocka, Drychlewiczowa/.

Krzywopłocka: Jezus Maria!

Drychlewiczowa: Niema co krzyczeć, to wcale nie jest drogo!

Muszę znówu robić przyjęcie, a ryzyko Szulca?

To co? Nic? Może kto inny zrobittaniej, ale my nie możemy. Jak chce, to dobrze. Cika?

Moje dziecko, chodź mi pomóż do kuchni, ja sobie sama rady dać nie mogę. Tam jest tylko moja córka i jeszcze dwie panie.

Cika: Mamusiu, jabym nie poszła.

Krzywopłocka: A może idź na chwileczkę.

Kasia: Jakże można tak długo zostawiać gości?

Pani mówiła, że się tak strasznie spieszy!

Drychlewiczowa: Ach, rzeczywiście, jaka ja jestem niepo-

prawna! Znowu się zagadałam. Takarozrze-

pana na stare lata! /Kryguje się przed

małym lusterkiem, które wisi na ścianie/.

Fitzig mówi, że figurę mam, jak podłotek.

Chodź, Celinko, słowo daję, że nie wejdziesz

do pokoju. Tylko mi troszeczkę pomożesz

w kuchni. Dam ci coś bardzo dobrego do zje-

dzenia. No, chodź.

Cika: Pani Kasiu, czy ja mam iść?

Kasia: Idź na chwilę, wracaj niedługo.

Drychlewiczowa: Idę napraśd, przychodź z tym octem.

Może jest pieprz? Pa, pa! /wychodzi/.

Cika: Idę z tym octem. Może ci nareszcie zaszkodzi, ty szwabski materacu. /wychodzi/.

Krzywopłocka: Ach, Boże, Boże, co to człowiek musi jeszcze wytrzymać! /wychodzi z talem/.

Scena XI. /Kasia, Ewa, Profesor/.

Profesor: /do Ewy/. To jest tak zwany crocodilus germanicus.

Ewa: Raczej hjena. Żyje podobno z trupów.

Profesor: Przygotuję ci pościel. I pani także.

Kasia: Zaraz przyjdę, tatusiu. Dziękujmy.

Profesor /wychodzi/.

Scena XII. /Kasia i Ewa/.

Kasia siedzi oparta plecami o ścianę, twarzą do widzów. Ewa kładzie się na kuchennym łóżku/.

Ewa: Tak mi zimno.

Kasia: Zaraz się tu rozgrzejesz.

Ewa: Chodzę dziś cały dzień po ulicy. Stamtąd, gdzie byłam, trzeba było uciekać.

Kasia: Gdzie jest Marek?

Ewa: Ja...ja odeszłam od Marka.

Kasia: Jakże można odejść od Marka? Jakże można zrobić Markowi krzywdę? To tak, jakby strzelał z armaty do skowronka.

Ewa: Tego się obawiałam. Wiedziałałam, że ty nic nie zrozumiesz.

Kasia: Może zrozumie. Spróbuję.

Ewa: Zawsze byliście w tych sprawach jednego zdania. Marek wpakował się cały w konspirację. Musieliśmy uciekać ze Złotej, bo ktoś go zdradził. Zadekowaliśmy się w Milanówku. Pamiętasz przecież.

Kasia: Naturalnie. No i co było w Milanówku?

Ewa: Znowu zaczęli go wszyscy wykorzystywać. Dzień i noc jakieś ukrywania, powielania, przechowywania. A on jest nięciovowy, nieprzytomny, może się zdradzić na każdym kroku. Znasz go przecież.

Kasia: Znam go przecież....

- Ewa: Zaczęła się okropna bieda. Marek nie chciał grać na skrzypcach u Lardellego, choć dawano mu dość dobre warunki.
- Kasia: Miał rację.
- Ewa: Według Ciebie. W kawiarniach, gdzie jest muzyka lekka, też nie chce grać, choć tam można mieć zarobić.
- Kasia: Także miał rację. Czy widzisz Marka, przyjmującego napiwki?
- Ewa: Ach, widać to samo. Moja droga, jest wojna.
- Kasia: Doprawdy, co ty mówisz?
- Ewa: Jest wojna i trzeba ją przeżyć, jak się da.
- Kasia: Wszelka podłość jest zawsze ucieczką przed cierpieniem...
- Ewa: Do podłości jest tu bardzo daleko. Poprostu instynkt samozachowawczy. Ja nikomu szkodzić nie mam zamiaru, przeciwnie, ale chcę być bezpieczna. Nie chcę mieć żadnych politycznych spraw na sumieniu. Chcę się ubierać i żyć mniej więcej normalnie.
- Kasia: Moja miła, którzy tak żyją, też czasem giną.
- Ewa: Ale to są przypadki. A nie leżać samemu na własną zgubę. Odkąd zaczął ukrywać żydów...
- Kasia: Ach, więc to tak?
- Ewa: To tak. Ukrywał kolegów z konserwatorium, wszyscy razem zdychali z głodu i narażali się w nieprzytomny poprostu sposób. Czułam, że lada chwila to wszystko pęknie. Pewnego ranka zeszłam do sklepiku po mleko i tam mnie ostrzeżono. Uciekłam, tak, jak stałam. Nie widziałam go więcej.
- Kasia: Kiedyż to było?

Ewa: Dwa miesiące temu. Od tego czasu spotkałam dużo ludzi, którzy myśleli tak, jak ja. Wybrałam poprostu jednego z nich i mam być nązupękniej zabezpieczony. Nie patrz namnie takimi oczami, moja kochana. Nie wytrzymałam. Marek mówił, że tylko złoto wytrwa w ogniu wojny, w tygliku czarownic, ja nie wytrzymałam, ja nie jestem złoto. Zwyczajny tombak.

Kasia: Możliwe.

Ewa: W tej chwili tam, gdzieś mieszkali, także zrobiło się gorąco. Rozeszliśmy się wczoraj rano na ulicy, z tem, że się odszukamy za parę dni i wtedy przyszłam do ciebie. Możliwe, że zjawi się tutaj Marek, nie dziś, ani jutro, ale może się zjawi, jeżeli ocalili. Marek bardzo kochał twojego ojca. Ach, prawda.. /patrzy na Kasię/. Ty podobno kiedyś, jeszcze w szkole muzycznej, kochałaś Marka? Czy to prawda?

Kasia: Kiedyś kochałam...

Ewa: A może ty jesteś ze szczepu "Azra"? "Kochając, umieramy." Ja teraz wściłknie chcę żyć. Dla mnie to już nieważne takie głupstwa, jak wierność. Cudem uciekam i nie wrócę. a gdybyś go kiedyś zobaczyła, pamiętaj, powiedz, że nigdy mnie tu nie było. Powiesz mu to?

Kasia: Jeżeli tego żadasz...

Ewa: Żądam. Tak lepiej. Marek będzie wolny. Jeżeli się ocali, to.... /nagle/. Kasia, ale ty mnie nie wydasz? Tam na dole są ~~nimayx~~ Niemcy. Możesz powiedzieć, że ukrywałam żydów i miałabyś go na zawsze dla siebie. Kasia! Ach...

Kasia: /potrząsa nią za ramiona/.

Ewa, Ewa, opamiętaj się!

Jesteś jak człowiek tonący, który bije ratującego.

Ewa: Przepraszam.../kuli się, jak zepsuta lalka/.

Przepraszam....Ostatnio tyle już widziałam.....

Kasia: /stoi, wpatrzona w ciemną szybę/.

Przejdzie ci to.... Zapomnisz, wyleczysz się....

Ewa: Zapomnę.... U ciebie można odpocząć. Twój ojciec przyjął mnie tak uprzejmie. Wcale mnie nie poznał,^o bo nigdy jego uczennicą nie byłam, ale udał, że zna mnie doskonale.

Kasia: Tak, ojciec jest przyzwyczajony, że tu jest hotel pod uciekinierem. Spij teraz, Ewo.

Ewa: /wstaje/. Tu będę spała, dobrze?

Kasia= Lepiej w pokoju.

Ewa: Nie, nie, ja tu, a ty tam, z ojcem. Nie powiesz nic nigdy Markowi. Pamiętaj.

Kasia: Nie. /chwila milczenia/. Jeżeli chcesz koniecznie tu spać, to ja ci muszę jeszcze coś wytłumaczyć. Ja, widzisz, tutaj w nocy mam coś do roboty.

/pukanie. Wsłucha się Cika, zasmarkana z płaczu/.

Scena XIII. Kasia, Ewa, Cika.

Cika: Pani Kasiu, ja muszę /chlip/ coś pani powiedzieć, ale tylko pani, na osobności. /chlip/.

Kasia: /do Ewy/. Idź na chwileczkę do mojego ojca, ja zazaz przyjdę. Drzwi na lewo, pamiętasz?

/Ewa wychodzi/.

Scena XIV. Kasia i Cika.

Kasia: /tuli zabeczaną Cikę/. Co ci zrobili, moja pociecho, moja duża, moja odważna. Co ci zrobili, że ty tak beczysz?

Cika: /bucząc/. Niiiie mi niikt nie zrobił, tylko ja sama jestem podła, podła jestem i świnia. /ryczy/.

Kasia: Co się stało?

Cika: Tam było tak strasznie dużo żarcia, całe góry, a krokodyl dał mi tylko kremu, też pomysł, i jeszcze musiałam pomagać, i aż mnie w brzuchu kręciło. I potem /chlip/ ona poszła do nich, a ja pozostałam w kuchni i na jednym talerzu leżał taki ogromny szwabski kotlet....

Kasia: /śmieje się/. Jakte, kotlet był ze szwaba?

Cika: /chlapiąc/. Nie, był wieprzowy, tylko szwab go nadgryzł, ale tylko malutki kawałeczek nożem nadkrył, i zostawił. /z westchnieniem/. Co tam dla niego taki kotlet? I ja, proszę pani, /chlip/, i ja ten kotlet zjadłam....

Kasia: I tego buczysz?

Cika: Tak. Bo się tak strasznie wstydzę. Że ja ten kotlet po szwabie....

Kasia: Byłaś głodna, co?

Cika: Aha. Mięsa przecież wcale nie widzę...

Kasia: /siedzi. Cika stoi między jej kolanami/.
No, to idź spać, stary okularniku. Ja ci przebaczam.

Cika: /z ulgą/. Buuuuuu!

Kasia: No, marsz do łóżka. Nadejdzie jeszcze taki czas, że polskie dzieci przestaną być głodne. Słyszysz, nadejdzie wytrzymaj! /Cika kiwa z zapalem głową/. Mówili coś specjalnego?

Cika: Nie, mówili tylko, że im się coś psuje pod Lenin-gradem.

Kasia: To dobrze. Spij, malutka. /całują się/. /Cika wychodzi do przedpokoju/.

Scena XV. Kasia, Ewa, Profesor.

Kasia: /podchodzi do drzwi i woła/: Tatusiu!

/wchodzi Profesor z Ewą/.

/Kasia zamyka drzwi na klucz/.

Kasia: Tatusiu, zaczynamy robotę. /Ewa siada na łóżku i patrzy. Profesor przynosi blok i ołówek i otwiera drugą szafę./

Ewa: Co to ma być?

Kasia: Właśnie. Muszę ci wytłumaczyć!

Profesor wyciąga z wnętrza szafy mały aparat radiowy ze słuchawkami. Kasia siada przy aparacie, profesor bierze blok i ołówek i siada obok./

Ewa: O, psiakość! ale wpadłam! Na dole orgja z okupantami, a na górze podsłuch radiowy.

Kasia: Właśnie, bardzo cię przepraszam, ale jutro rano przyjdą poto, co się dzisiaj napisze.

Ewa: A ja właśnie pragnęłam spokojnego życia!
Czy ty rozumiesz, moja droga, ile przestępstw popełniasz wobec trzeciego Reichu?

Profesor: Trzy.

Ewa: Nie, proszę pana, więcej. Ale to mi szalenie imponuje, że mi ufasz, Kasiu!

Kasia: Jak widzisz. Ja tobie ufam.

Ewa: Liczymy te zbrodnie. Słuchanie wrogich radiostacji. Raz. Ukrywanie osoby niemeldowanej. Dwa. Przecho-
wywanie przestępcy. Trzy. Rozgłaszanie wiadomości z wrogiej radiostacji. Cztery.

Kasia: Mama wrażenie, że w wielu kamienicach warszawskich popełniane są w tej chwili takie przestępstwa.

Profesor: I wiele innych.

Kasia: No, zaczynamy. /Zakłada słuchawki/. /Do ojca/.
Notuj. Moskwa. Sytuacja w Leningradzie uległa
zmianie. Działania ofensywne rozpoczęto.
/Profesor pisze. Ewa siedzi skulona. Kurtyna
podczas słów Kasi zapada./

Koniec aktu pierwszego.

A k t II.

W dwa miesiące później.

/Ta sama kuchnia, porządnie sprzątnięta. Popołudnie. Słońce zaczyna zachodzić. Pod koniec aktu słońce zaleje kuchnię czerwonym blaskiem. Niedziela./

Scena I. Kasia, Profesor, Cika.

/Kasia siedzi przy kuchennym stole i poprawia zeszyty.

Cika siedzi na stole i robi sweter na drutach. Cika wogóle nigdy niema beczymnych rąk. Profesor drzemie na łóżku ubrany, na wysoko ułożonej poduszce./

Cika: Pani Kasiu.

Kasia: Cóż?

Cika: Jak pani myśli, jak to będzie po wojnie? Jak tylko mam czas myśleć, to zawsze najpierw myślę o tym. Ale ja rzadko mam czas. Myślę, że będzie zupełnie inaczej, niż było przedtem. Ale jak będzie, to już nie wiem. Myślę na przykład, że szkoła będzie darmo, i że już nie będę musiała robić pudełek w fabryce.

Kasia: To ci uroczyście przyrzekam.

/Profesor otwiera oczy i zaczyna słuchać rozmowy/.

Cika: Wie pani, tak sobie myślę: Roboty to chyba będzie dosyć dla wszystkich przez najbliższe sto lat.

Ale martwię się okropnie o tych, co są w Londynie.

Kasia: A to znowu dlaczego?

Cika: A bo oni przecież nie nie będą mogli nigdy zrozumieć. I z tego powodu będzie masa nieprzyjemności

Kasia: Dla kogo?

Cika: No, i dla nas i dla nich, zobaczy pani.

Kasia: Patrzcie, patrzcie, co za polityk.

Profesor: Cika ma rację. Europa podzieli się poprostu na dwa obozy. Tych, co znają okupację i tych, co jej nie znają. I myślę, że narody, po obu stronach tej niewidzialnej granicy nigdy się już nie zrozumieją.

/Głos Krzywopłoskiej: /Celinko !

Cika: Mama woła. Dziadku, chodź do nas, u nas jest dziś ciepłutko. Chodź, tak rzadko do nas przychodzisz. U nas napalone, bo dziś niedziela.

/Profesor wychodzi z Ciką do przedpokoju/.

/Kasia chwilę jest sama. Zachód świeci w okna.

Pukanie do drzwi od strony klatki schodowej/.

Kasia: Kto tam? /Głos męski za drzwiami/.

Czy jest pani Kasia?

Kasia: Jestem. Kto to może być...

/Idzie otworzyć. W progu staje Marek, oblany światłem zachodu.
Jest bardzo blady, jasny płaszcz od deszczu, bez kapelusza./

Scena II. Kasia i Marek.

/Kasia chwilę nie wierzy własnym oczom, potem rzuca się do
niego i stoją chwilę ciasno objęci, z twarzami zakrytymi.
Po chwili Marek zdejmuje ręce Kasi ze swojej szyi i całuje je.
Kasia zamyka drzwi od schodów na klucz./

Marek: Jak to dobrze, że tak mnie witasz, Kasiu. Nie myśla-
łem, że jeszcze mnie ktoś w życiu tak radośnie przy-
wita. Czy nie widziałaś Ewy?

Kasia: Nie.

Marek: Twój ojciec żyje?

Kasia: Tak, jesteśmy razem, zaraz go przyprowadzę. Jak ty
wyszedłeś z tej historii w Milanówku?

Marek: Ach, więc ktoś ci to mówił?

Kasia: Tak, ale nie pamiętam, kto. Więc jak to było?

Marek: Mniejsza o to, dość, że jestem. Ale jestem już
śmiertelnie zmęczony. Udało się, rzeczywiście,
cudownie. I mnie i im. Ale, czy było warto ocaleć?
/opiera głowę o ścianę i zamyka oczy/. Ewa odeszła.
Wiesz? Poszła z talem, z nienawiścią, ostatnio tyle
było ciągle awantur. Tak ją strasznie kochałem.
Nie będę jej szukał. To lepiej dla niej. /otwiera
oczy/. Wiesz, Kasiu, ja dwa lata nie grałem. Ja już

chyba nigdy nic nie napiszę.

Kasia: /Kasia nachyla się nad nim/.

Będziesz grał, będziesz komponował. My z ojcem ciebir schowamy. Odżyjesz. Tu będziesz przez jakiś czas. Odpoczniesz. A potem pojedziesz gdzieś w bezpieczniejsze miejsce. Ojciec ci powie, dlaczego. Ale bądźzisz nas często widywał. Już teraz nie wypuścimy cię z rąk.

Marek: /znów zamknął oczy i oparł głowę o ścianę/.

Wiesz, ona ma taki okropny żal że to, że jestem inny. Ma żal, odkąd można było wyjechać zagranicę, a ja nie chciałem. Powiedziałem, że chcę być tu, dopóki tu jest źle. Ale ona nic nie rozumie. Ona jest słabsza od nas. I zawsze była jakaś inna, niż my, pamiętasz? /chwila milczenia/.

Czy miewasz listy od męża?

Kasia: Nie. Miałam jeden.

Marek: No? I?

Kasia: Rok temu. Pisał, że prosi o wybaczenie i o wolność, ale ożenił się z jakąś szkotką.

Marek: O, to oboje jesteście przegrani.

Kasia: Czy jesteś pewny, że to przegrana?

Marek: Masz rację. Prostu nie wytrzymali próby.

O, jak mi się nie chce ruszać! Jestem taki zmęczony.

Kasia: Zaraz cię muszę poruszyć, kochanie. Pójdiesz do pokoju mojego ojca. To mieszkanie jest okropnie zapchane. Mieszka tu 4 rodziny i wszyscy naturalnie gotują w tej kuchni. Będiesz tu dzisiaj spać. Chodź tymczasem, zaraz zaczniesz schodzić tak zwana manażerja. Ojciec się tobą ucieszy. /wychodzą do przedpokoju/.

/Chwila ciszy, potem wchodzi Krzywopłocka i Sapalska i zaczynają coś gospodarować.

Sapalska kraje bułkę, Krzywopłocka zaczyna obierać swoje nieśmiertelne kartofle./

Scena III.

Sapalska: /śpiewa walca z Wesołej Wdówki, mieszając w rondlu do taktu./ Helena?

Krzywopłocka: Co?

Sapalska: Widziałas, nasz Michałek ma cudne, nowe oficerskie buty.

Krzywopłocka: No to co?

Sapalska: To co? Jakaś ty tupa! /zbliża się do niej i mówi nachylona nad rondlem./ Bank na Bielańskiej obrabowali i uciekli. Podobno organizacja. I właśnie stąd te buty.

Krzywopłocka: Jezus, Maria, co to za czasy!

/stoi zasumowana nad swoim rondlem/.

Sapalska: Ryzyko było, ale co zarobili, to zarobili. To chyba jeszcze lepszy interes, niż sklep.

Krzywopłocka: Co też ty mówisz, Mania? Bój się Boga, jabym tam wolała nie mieć pieniędzy. Umarłabym ze strachu. Jeszcze jak mieszkałam w Alei Szucha, zanim nas wyrzucili, to przyszli mi zaproponować, żebym wynajęła łazienkę na robienie bimbru. Ale ja nie i nie. I gdybym wiedziała, że w tym mieszkaniu, co ja, jest ktoś, kto się naprzykład ukrywa, umarłabym ze strachu. Ja tego nie wytrzymuję nerwowo.

/Pukanie od przedpokoju/.

Krzywopłocka: Proszę.

Scena IV. /Wchodzą Michał i jego żona

Michałowa: Mogę sobie coś ugotować? To już stawiam. Mężus, siadaj przy mnie, to mi będzie weselej.

Michał: Moke uszanowanie pięknym paniom. /dmoka po rączkach/.

Sapalska: Powinszować tych butów panu dziedzicowi!

Pierwsza klasa !

Michałowa: Prawda, śliczne? Ale Michałeczek jest taki zgrabny! To tylko przy zgrabnej figurze takie buty nabierają prawdziwej elegancji.

Michał: /robi zwycięskie miny i chodzi po kuchni z wypiętym brzuchem/. Kochana pani Maniusiu!

Sapalska: Słucham, słucham pana dziedzica.

Michał: Mam do pani ogromne zaufanie. Spryt handlowy to rzadka rzecz w kobiecie. Właśnie chciałem prosić, czyby szanowna pani nie wiedziała o skromnym futerku dla mojej żony? Chciałem ulokować trochę pieniędzy.

Sapalska: /trąca w bok Helenę/. A nie mówiłam?

Michał: Nic nadzwyczajnego nie szukam, ale możeby karakuły? Mogą być używane.

Sapalska: Mogłabym pomyszkować.

Michałowa: Migdałeczek, mój cudny kiciuś, Futerdeczko żonie kupuje.

Sapalska: Panie Michale, niechno pan powie prawdę, strasznie jestem ciekawa. Udało się? /Michał jest zdumiony/. Z tym bankiem?

Michał: O czym szanowna pani mówi?

Sapalska: No, nie rób pan wariata. Tu sami swoi. No? Piętra pan miał? No, na Bielańskiej, w tym Banku? Co się pan patrzy, jak cielę na malowane wrota?

Michał: Ach, aaaa.....he, he, he,..... Na Bielańskiej. Oczywiście.....

/mrugają na siebie z żoną/.

No, cóż. Chłop strzela, a Pan Bóg kule nosi.

Udało się. Jakoś nam Pan Bóg dał.

Sapalska: A pan to ciągle ma Pana Boga w gębie. Samiście wzięli. /ciszej, tajemniczo/. Dużo waszych zginęło?

Michał: Naszych? No.....hm....Pani szanowna wybaczy,
my jesteśmy związani pewnego rodzaju przysięgą.

Hm....hm.....nie wolno takich rzeczy mówić.

Michałowa: Właśnie, Michał, nie mów, kotku.

Krzywopłocka: Mój Boże, żeby to nieboszczyk mąż widział !

Takie straszne ryzyko!

Sapalska: E, głupia jesteś, wszystko teraz ryzyko!

Ja, jak siedzę w sklepie, to też nigdy nie wiem,

kto mi zabierze kasę. Albo Niemielec, albo inny

złodziej, albo taki, co mówi, że jest z lasu....

Krzywopłocka: Jabym umarła ze strachu.

Scena V. Ci sami i Drychlewiczowa,

która wpada drzwiami od przedpokoju. Ubrana

w kostjum z lisami, ranne pantofle na nogach,

torebka w ręku.

Drychlewiczowa: Dobry wieczór, dobry wieczór. Proszę pań-
stwa, mam straszne wiadomości. Okrppne rzeczy
się dzieją.

/siada zziębnięta na stołku, wszyscy skupiają
się dokoła/.

Wszyscy: No? no? Co się stało?

Sapalska: Niech pani mówi!

Drychlewiczowa: Bolszewicy zaczynają zwyciężać. U Niemców coś się psuje. Tamci idą naprzód. Jejej, to dopiero będzie.

/Krzywopłocka uradowana, Sapalska obojętna, Michałowie mętni/.

Drychlewiczowa: Co to będzie? Ja sobie zaraz po wejściu Niemców zmieniłam obywatelstwo na ukraińskie, ale to zamało.

Michał: Ja pani dobrodziejce radzę wziąć węgierskie. Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Drychlewiczowa: No i teraz poleciałam do tych, co tu u mnie bywają i mówię: ratujcież mnie w takiej chwili, dajcie mi obywatelstwo austriackie.

Drychlewiczowa: Przecież ja się urodziłam w Stanisławowie.

Krzywopłocka: A oni na to.... Wiecie, co oni na to?

Michałowa: No? No?

Sapalska: No, gadaj pani do ciężkiej cholery!

Krzywopłocka: Co mówią, co?

Drychlewiczowa: Mówią tak: Śmieją się, ale to do rozpuku i mówią tak: Aber Frau Mariechen, proszę spać spokojnie. Oni tu nigdy nie przyjdą.

Krzywopłocka: /zrozpaczona/: Matko Święta, żeby to nieboszczyk mąż widział!

Drychlewiczowa: I jeszcze mówią tak: Niech pani idzie spokojnie do domu, mówią, my będziemy Warszawy bronili do ostatniej kropli krwi.

Michał: /Zrozpaczony/: No, to my będziemy ładnie wyglądali.

Drychlewiczowa: Oni gadają swoje, a ja się trzęsę, jak barani ogon. Rany boskie! Ja tyle ludzi uratowałam i właściwie nie powinnam się denerwować, ale poprostu miejsca sobie znaleźć nie mogę. Jak bolszewicy przyjdą, to mnie chyba powieszą.

/Do Sapalskiej/. Jak pani myśli, powieszą mnie?

Sapalska: /Bardzo poważnie/. Mam nadzieję, że tak.

Drychlewiczowa: Nie, no też! Głupie żarty się pani trzymają.

Krzywopłocka: Właśnie. Maniusiu, przestań żartować w taki sposób.

/Sapalska i Krzywopłocka stoją przy kuchni, trącąc się łokciami, małżeństwo siedzi na 2 stołkach. Drychlewiczowa na łóżku.

Michał: E, no, kto, jak kto, ale pani szanowna to sobie jakoś poradzi.

Drychlewiczowa: Prawda, panie, że ja sobie jakoś poradzę?

Michał: /bez przekonania/. Tak, tak.

Sapalska: Oho, jak oni tu będą, to i święty Boże nie pomoże.

Drychlewiczowa: Dotąd to się bałam tylko nalotów. Teraz były te przeloty, to ja codzień w piwnicy do siódmej rano. Albo do Swidra jeżdżę, tylko że nocleg w Swidrze już kosztuje 500 złotych. W kolejkach się poprostu zabijają.

Krzywopłocka: A pani Kasia mówi, że tu niepotrzeba schodzić do piwnicy, bo tam tylko desanty spuszczaają! I tak z powietrza lecą. Jej, żeby to nieboszyk mają widzieć. Podobno pod Siedlcami.

Drychlewiczowa: A skąd pani Kasia wie, że to pod Siedlcami?

Krzywopłocka: Bo ja wiem? Ktoś jej pewnie powiedział na mieście. Mnie to także mówili.

Sapalska: Ja to, wiecie, nie się tak nie biję, jak żydów.

Michałowa: A czego? Ich biedaków się bać? Przecie odkąd spalone ghetto....

Sapalska: Nie, ale wiecie, zdarzają się okropne rzeczy. Zupełnie, jak w romansie. Słyszałam, że ktoś kiedyś przychodzi do jakiejś pani i wynajmuje pokój.

Michałowa: No? No?

Sapalska: Wynajął. świetnie zapłacił, za pół roku naprzód. O mówi: tu, proszę pani, mije kufry przywiozę, ja tylko przyjmę i pójdę na obiad. No i przychodzą kufry, on coś tam pomajstrował przy zamku, pokłócił się, i poszedł. Na ten obiad. Gospodyni wchodzi

do pokoju, a tu w kufrze....

/dramatyczna pauza/.

Wszyscy: Co? co? co?

Sapalska: A tu w kufrze żyd z tałą brodą!

Michał: Coś podobnego!

Michałowa: Nie, no rzeczywiście.

Sapalska: I mówi: ratuj pani, bo ten pan, co poszedł, to miał wszystkie moje pieniądze.

Krzywopłocka: Swinia.

Drychlewiczowa: I co ona zrobiła?

Sapalska: Jakoś gdzieś go przeszwarcowała i pomogła mu, ale podobno.....osiwiała.

Michał: /Kreśli głową/. A to dopiero!

Drychlewiczowa: A jabym na jej miejscu zatelefonowała do komisariatu.

/chwila ciszy/. Michał chrząka. Wszyscy patrzą na Drychlewiczową z obrzydzeniem. Ta, jak zwykle, nie czuje nic. Wyciąga puderniczkę i robi się na bóstwo.

Drychlewiczowa: No, cóż tak państwo przycichli? Jak tam u pani Kasi, co słychać?

Krzywopłocka: Nic ciekawego.

Drychlewiczowa: Niech no pani Kasia uważa, żeby się nie wda-
wała w żadne głupie historie, bo to nie pora.
Ci obok, co przez ścianę mieszkają, to już
napewno są pod obserwacją. Ciągłe się tam
ktoś kręci, paczki noszą, smarkacze w długich
butach chodzą. /Sapalska głośno chrząka/.
/Michał kręci się niespokojnie i chowa nogi
pod krzesło/. Niemcy wiedzą wszystko.

Sapalska: Mają pewnie dobrych informatorów.

Michał: E, gdzie tam pani Kasia do polityki! Ona taka
zapracowana!

Michałowa: Właśnie. Skąd pani Kasia!

Sapalska: Mnie ona imponuje. Nalotów się nie boi. Oni
z ojcem nigdy do piwnicy nie schodzą.

Krzywopłocka: /żarliwie/. Ona się nigdy niczego nie boi.

Michał: A nieprawda. Okropnie. Dentysty.

Krzywopłocka: E, no, niech mi pan pokaże takiego, co się
dentysty nie boi. /Śmiech/.

Drychlewiczowa: Ach, rany boskie, jaka ja jestem roztrzępana!
Cynamonu państwo nie mają? Po cynamon przyle-
ciałam, na śmierć zapomniałam i siedzę!

Sapalska: W sklepie też jest cynamon.

Drychlewiczowa: Jest, ale nie chce mi się chodzić. Mam takie ciasne pantofle, w domu nikogo niema.

Michał: Ha pani szanownej poszukam. /wychodzi/.
/mocne pukanie od schodów/.

Krzywopłocka: Jezus Maria!

Michałowa: /otwiera drzwi od schodów. Staje w nich dozorca gruby i wąsaty, Wojciech// Jednocześnie w drugich drzwiach staje Cika./

Dozorca: Dobry wieczór. A pana tego lokatora to niema?

Michałowa: Jest mąż. O co chodzi?

Dozorca: A bo to mam tu do niego takie....wezwanie....

Michałowa: Ja mu zaraz oddam. Niech pan pozwoli. /wychodzi/.

Cika: Panie Wojciechu!

Wojciech: No?

Cika: Co tu się granatowy tak dzisiaj kręcił?

Sapalska: /do Krzywopłockiej/. Bielańska. Ja ci mówię.

Już po nim. /pokazuje palcem po gardle/i wydaje odpowiedni dźwięk/.

Dozorca: Granatowy?

Cika: Aha.

Dozorca: A to względem pana Michała.

Sapalska: A nie mówiłam?

Krzywopłocka: Cicho, Mania, na miłość boską.

Cika: A co on chce od niego?

Wojciech: A to, że, jak se dobrze nie przyuważy, to będzie w kryminale.

Cika: Ojej, a za co?

Wojciech: A bez to, że....Nikt tu obci nie wejdzie?

Drychlewiczowa: Nie, nie, sami swoi.

Wojciech: /tajemniczo/. A to, że on wozi co tydzień bimber z Sierpca i granatowy se go przykaraulił.

/Krzywopłocka dostaje ataku śmiechu, ponieważ zaczyna go od jęków, brzmi to bardzo niesamowicie/.

Wojciech: O, i bez to ma tyle forsy. Ale ony takie nieużycziwe. Tfu....

Sapalska: ...

Scena VIII.

Michał: /wchodzi/. O, jest cynamon. Służę pani.

Sapalska: A ja myślałam, że pan znajdzie cykorję.

Cika: Albo bimberek.

Michał: Także coś, bardzo niesmaczne żarty, Wypraszam sobie. /łapie swój rondel i dumnie wychodzi/. Śmiech.

Drychlewiczowa: Ach jej, ja się tak zasiedziałam. Nam się zawsze tak przyjemnie rozmawia, prawda?

Cika: Uhm.

Drychlewiczowa: Pa! Pa! Ach, co za czasy! Może jest imbir,
albo gałka muszkatołowa? /nikt się nie zgłasza/.
Niema. Dowidzenia, dowidzenia! /wychodzi/.

Scena VIII.

Dozorca: Uszanowanie pani. /jak wyszła/. Tfu, psiakrew,
cholera, za taką to i splunąć nie warto. Taka
łasa na szwabskie mięso. Jak się wojna skończy,
to ja se ty paniusi poszukam.

Cika: My też.

Dozorca: No, to dobranoc.

Krzywopłocka: Dobranoc. /Dozorca wychodzi/.

Scena IX. /Cika, Krzywopłocka, Sapalska/.

Sapalska: Widziałaś? A ja myślałam, że on ma z tego banku.

E, no bimber, to całkiem uczciwy interes.

Psiakość, manna mi się spaliła. A szlakby cię
trafił. Oho, konfitury na ziemię poleciały.

/konfitury kapią na ziemię/. Co ja mam dziś

takie maślane ręce? E, do bani z takim kucharowa-

niem. /leci do drzwi z garami, w drodze sładziut-

kim głosem/: Jasiuchna, otwórz Maniusi. Maniutka
obie rączki ma zajęte.

Scena X. /Cika z matką/.

Cika: /siada przy stole/. Ma młodości mi się zbiera. Jedna ciągle Jasiulek, druga ciągle "mężulek". Czy to zawsze się tak idjocieje z miłości. Jeżeli tak, to wolę nigdy się nie zakochać. Mamusiu, co jest dziś na kolację? /siadają obie przy stole/.

Krzywopłocka: /podając półmisek/.

No, kartofle, jak zwykle. Ach, żeby to nieboszczyk mąż widział!

Cika: Goby nam przysłał z nieba książkę pod tytułem: 150 potraw z kartofli.

Krzywopłocka: Nie, ty to zawsze.

Cika: A co, mam płakać? Od tego puchnie nos. Dosyć, że mi ręce puchną odkopania w ogródku.

Krzywopłocka: Moje ty biedne dziecko! /ohlipie/.

Cika: Nie płacz, mamusiu, pani Kasia mówi, że już niedługo!

Krzywopłocka: Możliwe. Krokodyl jest okropnie zmartwiony.

Cika: Co ty mówisz. To dobry znak.

Krzywopłocka: Prawda?

Cika: A wiesz, dziś w tramwaju jeden mały szkrab śpiewał tak:

Prosty robotnik i pan we fraku

Siedzą razem na Pawiaku.

Siekiera, motyka, piłka, prąd

Już niedługo pójdą stąd.

Krzywopłocka /z pełnymi ustami/. Krokodyl się boi, że go powieszają.

Cika: Ma jak w banku. Stołek będę z pod nóg wyciągać.

Krzywopłocka: A kiedy ona mówi, że duże ludzi uwolniła.

Cika: Widziałaś kiedy takiego, co go uwolniła?

Krzywopłocka: No, nie....

Cika: A widzisz! /kraje chleb z cebulą/. Witamina C= cebula. Witamina K= kapusta. Mogę słownik napisać. Taki wojenny. Witamina M= mięso końskie. Witamina W= węgiel, dźwigany z piwnicy na 4 piętro. Dobrze, że już ciepło i nie muszę dźwigać tej witaminy.

Ale, Jadwiga się tu wybiera.

Krzywopłocka: Ta twoja koltrąanka, co ją widziałaś z Niemcem?

Cika: Ta sama. To moja koleżanka ze starszej klasy. Ma tu przyjść prosić panią Kasię o lekcję angielskiego. Pani Kasia nie zechce.

Krzywopłocka: Napewno.

/pukanie/.

Cika: Ja otworzę. /wychodzi, po chwili wraca z Jadwigą./

Scena XI.

/Krzywopłocka, Cika, Jadwiga/.

Cika: Chodź mamó, zaraz poproszę panią Kasię. Ale wątpię, czy ona zechce.

/Cika i Krzywopłocka wychodzą/.

Scena XI-a

/Kasia i Jadwiga/.

Kasia: /wchodzi/. Cała rozmowa odbywa się stojąc.

Kasia jest spokojna, ale odpychająca.

Słucham panią.

Jadwiga: Dobry wieczór pani. Mama się pyta, czy pani zechce mnie uczyć angielskiego. My mamy teraz pieniądze, więc cena nie gra roli. Czy pani ma jeszcze wolne godziny?

Kasia: Mama.

Jadwiga: To doskonale. To będziemy się uczyć?

Kasia: Nie.

Jadwiga: Dlaczego?

Kasia: Pani dobrze wie.

Jadwiga: Ja? /spotyka wzrok Kasi, miesza się i zaczyna nerwowo kręcić końcem bucika./ .Ja....jakieś plotki na mnie robią.

Kasia: Czyżby?

Jadwiga: Przecież on jest z Wiednia. I był aktorem.

I teraz jest w teatrze wojskowym. I on nienawidzi
Hätlera.

Kasia: /zimno/. Co pani mówi?

Jadwiga: A przecież Drychlewiczowa tutaj przychodzi!

Kasia: Do kuchni. A czy zauważyła pani, żebyśmy ją za-
praszali?

Jadwiga: No tak, rozumiem. Zresztą, ona jest niebezpieczna.
Ale ja to zupełnie co innego.

Kasia: Różnica jest niezmiernie mała.

Jadwiga: No, wie pani, przecież ja się z nim tylko zare-
czyłam. I on jest artystą i naprawdę nie należy do
partji. Poprostu miałam pecha. Moja siostra
wyszła za polaka, którego pokochała. Ja miałam
to nieszczęście, że pokochałam Niemca. Cóż ja
zrobię, że ten człowiek właśnie mi się podobał...

Kasia: Człowiek? Niemiec nie jest człowiekiem.

Jadwiga: /spuszcza głowę i ma ochotę się rozplakać/.
Ja....pani dla mnie jest bardzo bezwzględna, ja....

Kasia: Nie mam dla pani czasu. Nigdy nie będę miała dla
pani czasu. Proszę mnie nie zatrzymywać. Zegnaj p
panią. Może pani zmieni zdanie po wojnie. Wtedy po-
rozmawiamy.

Jadwiga: /z płaczem/. Dowidzenia. Przepraszam. Ja.....

/wybiega/.

Scena XII

Kasia, Profesor, Marek.

/Profesor i Marek wchodzą i siadają przy stole, kończąc rozmowę, rozpoczętą w pokoju/. /Kasia drżącymi rękami stawia rondel na kuchence gazowej i miesza w nim łyżką/.

Marek: Co ci jest, Kasiu? Był ktoś u ciebie?

Kasia: Nic. Poprosto nie tak ^{mnie} wyprowadza z równo-

wagi, jak straszliwa ludzka głupota: przecież

profesor: pewne rzeczy spływają po nich, jak woda po gumowym

Marek: kaloszu. Nie wystarczy 150 lat, żeby przebudować

Kasia: polaków. Polaków? Zobaczycie, że po wojnie my

Marek: będziemy uparcie odbudowywać Polskę, a kto inny będzie uparcie odbudowywać Niemcy. A tu najlepsi giną i giną.

Profesor: /gładząc po ramieniu Marka/. Ja znam jednego, który ocalał. Mój najlepszy uczeń, moja pociecha. Wielki skrzypek wolnej Polaki!

Marek: /całuje rękę Profesora/

Profesor: Czyś ty zwarjował, Marek?

Marek: Nie, skąd? Pocałowałem rękę mojego mistrza. Wolno mi przecież.

Kasia: No, dość tych komplementów. Siadamy do kolacji. Proszę.

/siadają przy stole. Kasia i Ojciec profilem, Marek twarzą do widowni/.

Marek: Czy ja będę mógł słuchać twojego radia, Kasiu?

Kasia: Naturalnie, jak odbiorę komunikaty.

Marek: Może trafię na Szymanowskiego. Pamiętasz, jak upajaliśmy się po nocach muzyką z płyt, póki nas nie zabrali z mieszkania na Wilczej: 500 płyt!

Profesor: Kasia nastawiała po 10 razy cantabile z kwartetu Czajkowskiego.

Marek: A ja Fontanne Areżuzy.

Profesor: A ja koncert Szopena E-moll.

Marek: A Szalapina pamiętacie? Perska pieśń miłosna....

Kasia: O tak....

Marek: To wszystko pomagało znakomicie zapomnieć, że jest wojna. /marząc/. Pragnąłbym mieć dziecko i komponować dla niego kołysanki. Ciekawe, że w najdzikszych czasach pościgu przychodziły mi do głowy najłagodniejsze melodje. Może to los chciał, żebym nie oszalał. Panie profesorze, pamięta pan:

"pięćset małych trumien,

płaskich, jak list, zawarło^w swe czarne spirale
muzykę zabronioną, której nikt nie umie,
której cenzura słuchać nie pozwala wcale.

Kasia: Wojny niema. Zniknęła. A w czarnym bezmiarze krążą gwiazdy, grające melodie marzenia.....

Ziemia pędziła szybko między pyłem zdarzeń,
lekka i tak nieważna, jak rzecz, której niema.

Marek: Dziać się zaczęły rzeczy, co naturze przeczą.

Zwątpiliśmy głęboko w podłość i obydę:

I stało się zupełnie bez znaczenia rzeczą,

Że Bethoven był Niemcem, a Mendelssohn Żydem.

/nagle ostre pukanie do drzwi sąsiednich/.

Marek: /zrywa się, szeptem/. To do nas?

Profesor: Nie, obok.

/pukanie powtarza się, potem walenie w drzwi:

Słuchacz musi się orjentować, że walą do sąsiadów
przez ścianę/. Wszyscy troje kamienieją. Po chwili

milczenia słychać kobiecy głos, pytający: kto tam?

Głos męski odpowiada: Polizei. Stłumiony okrzyk

kobiety, tupot butów, drzwi trzasnęły, weszli, cisza/.

Marek: To ja na ciebie ściągnąłem. /wstaje, chce iść
do drzwi/.

Kasia: Marek, co robisz?

Profesor: Marek! /mówią szeptem i chodzą na palcach/.

Marek: Ja nie będę na was ściągał nieszczęścia. Jeżeli
oni po mnie przyszli, to wyjdę do nich sam.

Kasia: /już opanowana/. Spokój. A jeżeli to nie po ciebie?

Może przyszedli po kogo innego, zabiorą go i ~~pryjda~~ nie przyjdą tu wcale. Takie rzeczy zdarzają się. Bardzo często.

Profesor: /siedzi na stołku, kiwa na nich ręką, otaczają go z dwóch stron nachyleni/.

Kasiu, idź do pokoju Ciki i uważaj, co będą robić tam. Jeżeli wyjdą na ulicę, to jesteśmy narazie cali.

/Kasia idzie do drzwi do przedpokoju, w chwili, gdy je otwiera, staje w nich Cika/.

Scena XII.

/Ci sami i Cika/.

Cika: Dziadku, oni są u Zimorowiczów. Biją. Tak się strasznie boję, czy oni przyjdą tu?

Kasia: Cika, idź zaraz do pokoju i słuchaj, jeżeli zauważysz, że wychodzą, stamtąd, przyjdź nam ~~powie~~ powiedzieć. Nie bój się, ty przecież jesteś moja dzielna dziewczyna, moja pociecha. W razie, gdyby tu szli, siedź u siebie w pokoju i mów, że nic nie wiesz.

Cika: Tak. /wysłwa się cichutko/.

Scena XIII.

Kasia, Marek, Profesor.

Kasia: Jeżeli wejdą, niema innej drogi, tylko okno.

Marek: Okno? Jakto?

Kasia: Nie rozumiesz? Jest przecież radio. Tu już żadne wykręty nie pomogą.

Profesor: Zobaczymy. A co do okna, to umówione, mój drogi. Żywych nas nie wezmą. Zal mi tylko, że ty...

Marek: Zal? /przytula głowę do ramienia Profesora/. ~~Zalix~~

I dawno macie ten aparat radiowy?

Kasia: 3 lata.

Marek: Trzy lata.....

/Trwają w głuchym milczeniu, przytuleni do siebie. Za drzwiami zaczyna się hałas, Krzyk kobiety, otwarcie drzwi, odgłos upadku, czyjeś ciało wali się na drzwi kuchni.

Szczęk karabinów, tupot oddalających się kroków na schodach,

Wszyscy troje spoglądają na siebie, nagle wracają pojedyncze kroki, majstrowanie przy drzwiach

sąsiednich, trzaśnięcie, ktoś prędko zbiega

w dół po schodach, trzaśnięcie bramy w dole.

Wszyscy troje, jak obudzeni ze snu, patrzą

na siebie, nie śmiejąc odetchnąć./

Marek: Poszli...

Scena XIV.

Ci sami i Cika.

Cika: /zapłakana/. Poszli....Ja zobaczę, czy już napewno poszli.

Profesor: Nie, stój, to ja zobaczę. Ja jestem najstarszy.

/Profesor idzie zwolna na schody. Chwila ciszy. Wraca/.

Profesor: Już nie wrócą, bo mieszkanie tych nieszczęśników jest opieczętowane. Na schodach niema nikogo.

Kasia: Jutro przyjdą wywozić meble, wrywać tyrandole. Mienie politycznych jest własnością gestapo.

Marek: Staba, stara historia.

Cika: /Która cały czas stała przytulona do Profesora/.

Kasia: Dziadziusiu kochany, idź się już położyć.

Chodź, ja cię zaprowadzę, ledwie się trzymasz na nogach. A mama nic, tylko beczy, No, chodź,

kochanie. /Profesor wychodzi z Ciką/.

Scena XV.

Kasia i Marek.

Kasia: /siada na łóżku, Marek na stołku, Marek zapala papierosa/.

Marek: Będiesz dziś w nocy słuchała?

Kasia: Będę, ale później. Trzeba poczekać. Mpże wrócą.

- Marek: /mówi wolno, zaciągając się mocno dymem/.
 Od dwóch tygodni umierałem już tyle razy. W tej chwili po raz pierwszy bardzo mocno czuję, że żyję. Żyję, jestem młody, jestem z wami. Będę grał, będę komponował. Może naprawdę my przetrzymamy, Kasiu?
- /Kasia przez ten czas, siedząc, złożyła głowę na poduszce i ramiona jej wznoszą się cichym szlochaniem. Załamana się pierwszy raz./
- Marek spostrzega, co się dzieje, Siada obok niej, rzuca papierosa. Usiłuje podnieść jej głowę. Kasia trzyma się rękami poduszki i milczy.
- Marek: Kasiu! Kochana, duża, odważna Kasiu! Samotna Kasiu!...
 Kasia mocniej wciska twarz w poduszkę.
 Markowi udało się wreszcie położyć jej głowę na swoim ramieniu. Ośłania ją opiekuńczo./
- Marek: Ty się bałaś tym razem? Ty wcale nie jesteś taka dorosła, chociaż wydajesz się taka poważna i odważna.
 Ty jesteś biedna Kasia, moja mała biedna Kasielka.
- Kasia: Strasznie się bałam.
- Marek: O ojca?
- Kasia: Też. Ale najbardziej bałam się o ciebie, bo przecież ja.../nagle urywa/.
- Marek: Kasiu, to ty mnie....Kasiu...O ty, droga, kochałam ty najmiłsza....Jakiż ja byłem ślepy.....
 /kłęka, chowając twarz na jej kolanach/.

Marek: Ty nie odejdziesz odemnie, jeżeli będzie mi źle.

Kasia: / z uśmiechem/ O, nie....

Marek: Od dziś już nigdy nie będziesz płakała...

Kasia: Tak myślisz?

/Marek klęczy przed nią i patrzy jej w oczy/.

/Kasia miękko przytula się do niego, siedząc,
kurtyna pomału spada/.

Koniec Aktu drugiego.

Kasia: /wycierając pot c ciałem chustką, wydechuje z zis-
szoni./ No, już lepiej wygląda nawet niebieska
kuchnia. Cegiel trochę się spryskała, po rodzinie
można chudnąć. Za tydzień mają zacząć remont.

Ciśka: A kiedy będzie gotowe?

Kasia: Ma zostać napawno. Jeden pokój jest wyłożony
nowo tapetami. Inne przepadły. Jeżeli się podoba
my nie trać.

Ciśka: Strach pomyśleć, żeby się ze mną stało, gdyby
nie pani!

Kasia: Ty jesteś dzielny stary okularku, taki a Kłopoty
tracisz. /śmieje się/.
Jeszcze nigdy się nie zastanawiałem na takie, panie
tak, to obowiązek.

Ciśka: Ach, jak dziś kocham na świecie i jak dobrze
jest być. Wieszcie mi, fabryki nie ma. Wszystko
nie ma. /zamyka drzwi/. Tylko mama...

A k t III.

Po wojnie rok 1946.

Ta sama kuchnia, częściowo rozwalona. Nawprost sceny w ścianie jest duża dziura, wystarpana pociskiem, mniej więcej na metr kwadratowy. Przez nią widać niebo, różowujące zachodem.

Łóżko w kącie pogieęte tróchę, z gołym siennikiem.

Drzwi ocalały jedne, drugie połamane, jednego górnego filonga brak. Dwa stołki stoją przy stole.

Na scenie niema nikogo.

Scena I.

/Cika i Kasia wchodzą razem z łopatami z pobliskiego ogródka. Opalone, w fartuchach, albo kitlach roboczych, Kasia siada na łóżku, Cika na stołku./

Kasia: /wycierając pot z czoła chustką, wydobytą z kieszeni./ No, już lepiej wygląda nasza nieboszczka kuchnia. Cegielek trochę się uprzętnęło, po podłodze można chodzić. Za tydzień mają zacząć remont.

Cika: A kiedy będzie gotowe?

Kasia: Na jesień napewno. Jeden pokój jest względnie mało zniszczony. Inne przepadły. Jakoś się pomieścimy we troje.

Cika: Strach pomyśleć, coby się ze mną stało, gdyby nie pani.

Kasia: Ty jesteś dzielny stary okularnik, taki z Kiplinga, tresowany. /śmieją się/.

Jeszcze nigdy się nie zawiodłam na tobie, pamiętaj, to obowiązuje.

Cika: Ach, jak dziś ładnie na świecie i jak dobrze jest żyć. Niemców niema, fabryki niema. Wojny niema. /smutnieje nagle/. Tylko mama....

Mój Boże, tak się strasznie bała, tak ciągle siedziała po schronach, i w schronie musiała zginąć. Wyobrażam sobie, jakby się cieszyła, że chodzi znów do szkoły. Jeżeli się po tamtej stronie spotkała z tatusiem, to dopiero mu się żali na naszą wojenną niedolę. I niech pani pomyśli, pani Kasiu, myśmy cały czas były na ulicach, i ja i pani, i obie pod takim ogniem. I nic, jesteśmy całe. A ojciec pani był ranny, a mamy niema.

Kasia: Widzisz, moja maleńka, poprostu się nam udało. Miałyśmy w każdym razie wyjątkowe szczęście. Pomyśl, nie byłyśmy w żadnym obozie.

Cika: Właśnie, a Jadwiga? Pamięta pani Jadwigę? Tę naszą Jadwigę z tej samej ulicy, co to chciała się koniecznie u pani angielskiego uczyć?

Kasia: Ach, ta...pamiętam. A co się z nią stało?

Cika: Podobno wzięli ją po powstaniu i wywieźli do obozu. Jeżeli żyje, to musi być przerobiona do gruntu i mądrzejsza, niż była.

Kasia: Możliwe.

/przez wywalone drzwi zagląda głowa Michałowej/.

Scena II.

Kasia, Cika i żona Michała.

Michałowa: /nieźle ubrana/. A dzień dobry, pani Kasiu.

Ja się masz, Celinko. /pocałunki/.

Cika: Dzień dobry pani.

Kasia: Dzień dobry.

Michałowa: Można tu na czemś usiąść?

Kasia: Proszę, obok mnie, na sienniku.

/Cika stawia łopatę w kącie, cały czas, gdy one rozmawiają, Cika, która nigdy nie próżnuje, zbiera cegły z podłogi i układa je w kącie. Michałowa siada obok Kasi/.

Cika: No, co, pan Michał nie wraca? Dlaczego?

Michałowa: Dlaczego? Ano, właśnie. Dlaczego. Ha! Mam list z obozu w angielskiej strefie. Pisz, że może wracać, ale nie chce.

Kasia: O i dlaczegoż to?

Michałowa: Zaraz to pani wytłumaczę. Ale że ja panią tutaj zastałam? Przechodziłam obok i myślę sobie, zajrzę.

Cika: A bo my tu przecież niedaleko mieszkamy razem z dziadkiem, a teraz, odkąd ciepło, co niedziela przychodzimy tu kopać i podlewać działkę pod domem.

Kasia: No i cóż tam pan Michał pisze?

Michałowa: Właśnie, właśnie, mam list, zaraz pani przeczytam. Nikt tu nie wejdzie, co?

Kasia: No, drzwi, jak pani widzi, zamknąć niepodobna.

Michałowa: Trudno. Ale, wie pani, po tym liście to poprostu żbem o ścianę i szlochać. Ja się tu z dzieckiem w Piastowie tak morduję, a on ani myśli wracać do kraju.

Cika: Dlaczego?

Michałowa: Ano, właśnie. Niech pani słucha. "Moja najukochańsza kiciuchno...nie, to dalej, zaraz...o, mam...
"Tutaj dochodzą z Polski przerażające wiadomości. Nie wiem, czy Pan Bóg pozwoli, że ten list dostaniecie. Może jęczycie już w kajdanach,

w tajgach mroźnej Syberji".

Cika: / z powagą/. Pan Michał to zawsze lubił tak poetycznie i biblijnie.

Michałowa: Już on tam wie, co pisze. W tym coś, proszę pani, musi być. "My tutaj czekamy z bronią u nogi. Wczoraj mówił tu przez radio jeden biskup angielski, Griffith i powiedział, że w Polsce wszystkie kościoły są pozamykane, a na kartki nic, prócz śledzi dostać nie można. Ja osobiście myślę, że wielki naród angielski lada dzień przyjdzie nam z pomocą."

Cika: A ja słyszałam, że ten wielki naród ma już walecznych polaków po dziurki w nosie.

Michałowa: Moja Celinko, jesteś jeszcze za młoda, żeby o takich sprawach wydawać sądy. Jeżeli Michał tak pisze, to widocznie ma do tego powody.

Cika: Młodzi teraz o wielu sprawach wydają sądy. Dlatego właśnie bardzo mi się w Polsce podoba.

Kasia: Ale przecież pani, choć tak się martwi, jest w Pia-
stowie, a nie w tajgach Sybiru?

Michałowa: Mój Boże, co za ślepota! Narazie jestem. Ale jeżeli Michał tak pisze, to widocznie będzie niedobrze. Słuchajcie dalej: /czyta z listu/. "W najgorszym razie uciekajcie z dzieckiem do lasu." Jak myślicie, co to znaczy w najgorszym razie? Może to będzie bomba atomowa?

Kasia: E, wątpię. No, co Cikunia, uciekniemy do lasu w najgorszym razie?

Cika: Nie. Ja dziękuję. Ja już zostanę w Warszawie.

Kasia: Ja też. Najwyższy czas wrócić z lasu i odbudować domy

Michałowa: Bo potem można będzie zastać zamknięte drzwi.

Michałowa: Proszę pani, ja do pani, jak do kogoś serdecznego, z przestrogą, a pani o jakichś domach. Ja pani radzę tego, co Michał pisze, nie lekceważyć. Czy pani porobiła zapasy?

Kasia: Nie, moja miła, a po co? Mam ze 6 kilo maki.

Michałowa: Pani Kasiu, niech pani sobie nie kpi. Brat mojego szwagra, który pracuje teraz w Unnrze,, mówił do siostry mojej przyjaciółki, a ona powtórzyła mnie. W razie spisu ludności trzeba robić duże zapasy i kupić parę kuźuchów, Moja mama słyszała wczoraj na hali targowej na Koszykowej, że zaraz po spisie ludności wszystkich wywieżą.

Cika: A kiedy spis był u nas pół roku temu.

Kasia: Nie, daj spokój, jeżeli tak mówią w hali targowej....

Cika: I jeżeli pan Michał tak pisze.....

Kasia: I jeżeli ten szwagier brata Unnry...

Michałowa: /wstaje obrażona i godna/.

Ja się pani ogromnie dziwię. Zeby pani, docent Uniwersytetu, zapatrywała się na życie tak nierealnie!

Kasia: To ja się zapatruję nierealnie?

Michałowa: Oczywiście. Mnie może być bardzo ciężko samej z córeczką, ale ja nie wiatpię w słowa Michała. To, co Michał pisze, to dla mnie święte. Zapasy zrobiłam, kuźuchy mam. A mama też nie głucha i na targu, co trzeba, słyszy. A niema dymu bez ognia. Oni tam wszystko wiedzą.

Cika: Gdzie "tam"?

Michałowa: W strefie angielskiej. Wystarczy przejrzeć prasę.

Zresztą, Michał był zawsze znakomicie poinformowany.

Siedział przecież po uszy w konspiracji.

Kasia: Co pani mówi? Nie może być!

Cika: /wybucha śmiechem/.

Michałowa: Pani nie wierzy? No, pewnie. Jak ktoś całą wojnę palcem nie ruszył, żeby ratować nieszczęśliwą ojczyznę.

/Cika śmieje się coraz więcej/.

Michałowa: / z piorunami w oczach/. Mnie tu więcej nikt nie zobaczy! Noga moja tu więcej nie postoi! Dowidzenia.

A jak moje biedne dziecko podrośnie, to do pani szkoły nie pójdzie!

/Już wyszła, zabierając torbę. wypchaną sprawunkami, i konia na błęgunach. Wraca od drzwi i patrząc z pogardą na Kasię, mówi: Bolszewiczka! /wychodzi/.

Scena III.

Kasia i Cika.

Cika: A cóż za durny babsztyl! Niech pani zejdzie do ogrodu, pani Kasiu, ja muszę pomachać tą łopatą, bo ja komuś zrobię coś złego!

Kasia: Zaraz tam przyjdę, kochanie. Jeszcze tu chwileczkę odpocznę.

Cika: /kaszac się do niej/. Pani Kasiu! Mam czasami wrażenie, że pani tu na kogoś czeka w tej naszej dziurawej kuchni.

Kasia: /gładząc włosy dziewczynki/.

Może....Idź, stary, mądry okularniku. Może wykopiesz skarby.

Cika: Skarby, jak skarby, ale może znajde młodziutkie kartofelki. Już idę. /wychodzi/.

Scena IV.

Kasia, potem Drychlewiczowa.

/Kasia schyla się i zaczyna podnosić cegły i wyrzucać je przez dziurę, wybitą w murze/.

W drzwiach wybitych ukazuje się łeb Drychlewiczowej w kapeluszu z prowokującym piórkiem.

Ponieważ górny filong drzwi jest wybity, łeb ukazuje się, jak komiczna zjawa. Węszy przez chwilę, a potem mówi wrzaskliwym głosem:/

Drychlewiczowa: Można?

Kasia: /upuszczając trzymaną w ręce cegłę/.

Nie może być!

Drychlewiczowa: /wchodzi, cudnie ubrana: pióra, lisy, pierścienie, koturny/. Dzień dobry drogiej pani! /leci do całowania/.

Kasia: /chce ją odruchowo odepchnąć, potem jakby z nagłą zmieniła zamiar, wyciąga rękę, żeby zatrzymać w powietrzu grożącą lawinę pocałunków/.

Drychlewiczowa: /cmoka w powietrzu/.

Ach, ach, ile wzruszeń! Ta stara kochana kuchnia! Jak się tu miło plotkowało! Przechodziłam właśnie przez Mokotów i myślę sobie wstąpię. Ciągnie mnie do tego domu, jak bandytę na miejsce zbrodni.

Kasia: O, doprawdy? Aż tak?

Drychlewiczowa: /rozsiada się na łóżku w całej okazałości/.

Łóż pan profesor? Podobno ranny? Już chodzi?

/Kasia kiwa głową/.

Drychlewiczowa: Ktoś mi mówił, że profesor był ranny w nogę. co? A pani Krzywopłocka gdzie?

Kasia: Zginęła w schronie.

Drychlewiczowa: Ajajaj. A mówiłam, uciekajcie niemiecką ciężarówką. Co to kosztowało? grosze? Ja zawsze wolałam być od Warszawy zdaleka. Jak były te rodyjskie naloły w maju, to codzień jeździłam nocować do Skolimowa. Po sześćset złotych za noc brali, tacy paskarze! I teraz też mówiłam: jechać, jechać. Ja pojechałam naturalnie darmo, ale inni też wiele nie wydali. Najwyżej po 10.000 złotych. Przecież to drobiazg. A gdzie teraz pani Sapalska?

Kasia: W Jeleniej Górze. /podchodzi do okna i woła/ Cika! /głos Ciki z dołu/.

Cika: Idę!

Drychlewiczowa: A cóż pani Mania tam robi? Bo Michałową, to spotkałam przed chwilą na Dworkowej. W Piastowie siedzi. Zupełnie się ludzie nie umieją urządzać. Ten Michał dotąd w obozie dobrowolnie. Także pomyśl, no, moja pani Kasiu, przecież to warjat! U nas w tej chwili można zrobić wielkie pieniądze. Ja nie rozumiem, jak to można nie wykorzystać koniunktury! Mamy dostęp do morza, okno na świat i tak dalej! /podczas ostatnich słów wpada Cika z łopatą i staje, jak wryta, widząc krokodyla w miłej pogawędce z Kasią/. Kasia mruga na Cikę.

Kasia: No, przywitaj się z panią! Bądź grzeczna!

Cika: /baranieje/. A.....a.... kiedy ja mam ręce okropnie brudne od łopaty.

Drychlewiczowa: To nic. To nic. Pa! Pa! /powiewa upierścienioną łopatą/.

Cika: A to się dopiero Wojciech ucieszy!

Drychlewiczowa: Wojciech?

Cika: Tak. On się tak często o panią pytał. Ciągłe pani wyglądała.

Drychlewiczowa: Co Ty mówisz? Pocziwy człowiek! Ale, zaraz, co to ja chciałam. Aha, Gdzie jest pani Sapalska? W Jeleniej Górze? Czy to razem z tym suchym, co u niego była na utrzymaniu?

Kasia: Przypuszczam, że razem.

Cika: /wzrusza ramionami i stoi, oparta na łopacie/.

Drychlewiczowa: Ach, jakaż ja jestem roztrzępana! Prawda, że tu są dzieci. Więc co kochana pani Mania tam robi?

Cika: Narzeka od rana do wieczora.

Drychlewiczowa: Jakto? Z czego żyje?

Cika: Ma sklep, jak i przedtem w Warszawie. Ale, jak poszliśmy do niej, będąc tam na letnisku, to ciągle narzekała. Powodzi jej się, owszem. Je kaczkę z borówkami i płacze.

Drychlewiczowa: Ach jej...ach jej....

Cika: Je prosiaka z chrzanem i tak strasznie narzeka!

Drychlewiczowa: Ach jej! A na co?

Kasia: Ze rząd, że podatki, że ruina, że nad przepaścią.

Cika: I że pójdzie z torbami.

Kasia: A pani też narzeka!?

Drychlewiczowa: Ach jej, nie, skądże, wprost przeciwnie!

Ja sobie tak świetnie dałam radę!

Kasia: O, to było do przewidzenia!

Drychlewiczowa: /zachwycona, nie widząc ironii/.

Prawda? Ja zawsze byłam bardzo zaradna. /wyciąga puderniczkę, robi ryjek, maluje usta, poprawia czerwone loki./

Jak mnie Niemcy zabierali tę ciężarówkę, to mi dali trochę złota i mnóstwo rzeczy.

Kasia: Czyich?

Drychlewiczowa: Ach jej, bo ja wiem... Takich ten,, porzuconych.

Więc brałam, no bo myślę sobie: mam się zmarnować...

Cika: /oparta na łopacie/. O, właśnie!...

Drychlewiczowa: Prawda? I tak jedziemy, jedziemy, i tam...hm., no, w jednym takim miejscu zostałam i przesiedziałam sobie, jak u Pana Boga za piecem. A potem pojechałam do Szczecina. Jeszcze towarówką. Tydzień jechałam. Piękne miasto. I tak ~~blizutko~~ blizutko Szwecji.

W razie czego /nachyla się tajemniczo/, w razie czego, to w parę godzin motorówką, rozumie pani?

Cika: O, jeszcze jak!

Drychlewiczowa: Przyjechałam do Szczecina, a miałam ogromny zapas boczku. I zaczęłam zaraz handel z Niemcami. Lisy za boczek, pierścioneł za słoninę. pianino za boczek. Nadzwyczajny interes. Byłam w Gdyni, ale tam nie warto, mało Niemców i za dużo znajomych z Warszawy. Pozajmowałam sobie ładne mieszkanie. Z mebelkami. Perskie dywany. Jedno w Sopocie, jedno w Gdańsku, a jedno w tym Szczecinie. Ale tamte potem straciłam, bo ja te mieszkania zabrałam takim Niemcom, co to byli Niemcami, a teraz się zrehabilitowali i są ~~polakami~~ polakami. Coś okropnego! Taki element! Także polityka! Bardzo się dziwię! I czy to się powinno zrażać pionierów?

Kasia: Rzeczywiście.

Drychlewiczowa: A teraz w Szczecinie mam piękny dancing.

Pod Niebieską papugą. Sliczny lokal. Jsk pnie
będą kiedy w Szczecinie, to bardzo proszę, proszę
bardzo.

Cika: Pod niebieską papugą? Czemu nie pod zielonym
krokodylem? To bardzo ładna nazwa.

Drychlewiczowa: Ha, ha, ha, rzeczywiście, może ja jeszcze zmie-
nię. Ulica Roli 18 jest ten moj lokal. Ruch ogromny.
Do rana siedzą. A nasi sojusznicy bardzo, bardzo
przystojni, tacy egzotyczni, wschód, ten romantyczny
ny wschód. Jestem tam rozrywana. Żaden Komitet nie ~~moż~~
może się obejść beze mnie. Właśnie mam zamiar wstą-
pić do jednej z partji. Bo teraz, proszę pani,
wszystko dla nas i wogóle trzeba iść z prądem.
Któraż to godzina? Szósta! Muszę lecieć. Na Puławskiej
będzie samochód Starosty, jedziemy razem do Szczec-
cina. Bardzo mi było miło, pa! pa!
/zbiera liczne paczuszki, pożegnania, cmokanie
w powietrzu. Wychodzi/.

Scena VI.

Cika: Ona chyba daleko nie pojedzie.

Kasia: Dlaczego?

Cika: Bo Wojciech grasuje na działkach i zaraz ją zobaczy.

Kasia: A nie dalej, jak dzisiaj tak się martwił, że ta
zaraza, jak ją nazywa, uciekła zagranicę, bo się
nie pokazuje.

Cika: Ja schodzę na dół, bo to będzie przedstawienie
nie lada. Chodźmy, pani Kasiu, chodźmy, bo krokodyl
Wojciechowi ucieknie.

Kasia: Chodźmy, bo tu perfumy krokodyla aż duszą.

Kasia i Cika wychodzą.

Scena VII.

Przez chwilę niema nikogo na scenie. Potem słychać pukanie do połamanych drzwi. Światło zachodu czerwienieje za oknem. Cisza. Pukanie powtarza się. Cicho otwiera drzwi i wchodzi Marek.

Marek: /Sam/.

/Wchodzi, rozgląda się, próbuje, czy można wejść do pokoju, widzi, że tam są gruzy. Wraca opiera się o zrab ściany i chwilę patrzy w dół. Jest dobrze ubrany i wyraźnieszmieszany. Siada na łóżku Kasi i ukrywa twarz w dłoniach. Siedzi tak chwilę, potem rozgląda się jeszcze raz, wstaje, idzie bardzo wolno do drzwi na schody. Kiedy jest w drzwiach, pojawia tam się Kasia, która wchodzi z ogrodu.

Scena VIII.

Marek i Kasia.

/Stoją, jak urzeczeni, potem obejmują się w ramiona. Krótka chwila milczenia.

Kasia: Gdzie ty byłeś ostatnio?

Marek: Przed samym powstaniem byłem na głuchej wsi, potem w Warszawie, potem w obozie w Niemczech, wreszcie w Łodzi. Pisałem tu kilka razy, raz byłem ale wtedy nie mogłem was znaleźć. Profesor żyje?

Kasia: Żyje, ale bardzo kułaje i choruje na serce. Był ciężko ranny. Jest z nami Cika. A mieszkamy gdzieindziej, bo

tu, jak widzisz, są gruzy. Dlatego list mnie nie znalazł. Byłby mi oszczędził wiele bezsensownych nowy. Właśnie teraz zabieram się do częściowego remontu mieszkania.

Marek: Jestem w Łodzi. Dostałem pracę, komponuję, masę zarabiam. /chwila milczenia/.

Marek: Kasiu, usiądź przy mnie tu, jak dawniej, na tym biednym sienniczku. /siadają/.

Kasia: Co będziesz robił dalej?

Marek: /bierze jej ręce w swoje/. Kasiu, ocaliłaś mnie wtedy. Tak, nie przecz, ocaliłaś mnie. /patrząc w ziemię/. Może teraz trzeba mnie będzie ocalić po raz drugi.

Kasia: Jakto?

Marek: Słuchaj, odnalazła mnie Ewa.

Kasia: Ach, tak....

Marek: Ta sama Ewa, co uciekła odemnie w najczarniejszej godzinie mojego życia, co mi rzuciła w twarz, że nie chce przeze mnie i moich towarzyszy umierać, ta, która nawet nie zadała sobie trudu, żeby nas wtedy ostrzec. Wróciła, bo dowiedziała się, że jestem w Łodzi, że mam mieszkanie i z powrotem pieniądze. Ale ja, Kasiu...ach. /zakrywa twarz/.

Kasia: Mów dalej.

Marek: Kasiu, ty zawsze wszystko zrozumiesz. Wysłuchaj.

Kasia: Słucham przecież.

Marek: Bardzo długo byłem zupełnie sam. Kiedy przyszła Ewa, wychudzona, obdarta, miałem tylko jeden pokój. Ona mówi, że wróciła z obozu.

Kasia: Rozumiem.

Marek: Wszystko zaczęło się na nowo. Teraz ona płacze, Kasiu, mówi, że....będzie miała dziecko....moje dziecko....

/Kasia wstaje i opiera się plecami o wyłom muru, tyłem do Marka, profilem do widowni/.

Marek: /siedząc/. Więc ja...co miałem robić...Kasiu.....

Kasia: Tak,...tak...

Marek: Czy wiesz napewno? Kasiu, ty jesteś sprawiedliwa, czy wiesz napewno, że ona wróciła tylko dlatego, że znowu mam pieniądze. Czy wiesz, co robiła po rozstaniu ze mną?

Kasia: /z męką/. Skądże, nie nie wiem napewno.....

Marek: Nie mogę wiedzieć napewno, że dziecko nie jest moje. Jestem tak....rozzarpany wewnętrznie. Przecież..... Ach.....Jakżeż ja ją mogę zostawić, jeżeli to jest moje....Kasiu.....

/milczenie/.

/Kasia ciągle stoi plecami do Marka. Marek sięga po jej rękę, zwieszoną bezwładnie i całuje ją/.

- Marek: Ty jesteś taka dobra i taka silna.
- Kasia: /odwraca się zwolna i patrzy mł w oczy/.
/głucho/. Tak myślisz?
- Marek: Ty wyjdiesz zwycięsko z każdej życiowej sytuacji.
Ona jest niemądra i taka słaba....
- Kasia: Tak myślisz?
- Marek: Ach, co mamy robić, co mamy robić?
- Kasia: /odwracając się znowu do wykłamu w scianie twarzą/.
Nic nie możemy zrobić. Niema wyjścia. Słuchaj.
Proszę cię bardzo, na wszystko, zrób to, o co
cię proszę. Wyjdź stąd teraz po ciu, póki ja
patrzę w niebo. Pomyślę, że cię tutaj nigdy nie
było. Będzie mi łatwiej. Proszę, zrób to, mój
miły....
- Marek: /wstaje/. Tak, moja miła.....
/chce ucałować policzek Kasi, nie śmie. Po chwili
wahania powoli, pochylony, odchodzi/.

Scena IX.

Kasia, później Profesor.

/Kasia po wyjściu Marka odwraca twarz, potem
znowu składa ją na ręce, opartej o wyłom ściany.
Na schodach słychać kroki profesora, który wcho-
dzi zwolna, oparty na lasce. Bardzo kuleje,
mocno dyszy. Kasia odwraca głowę i widzi, że
profesor, oparty na lasce, serdecznie się do
niej uśmiecha. Słońce świeci na białą głowę

i uśmiechniętą twarz profesora. Wygląda, jak dobry, stary archanioł. Od tej chwili zachód za oknem z wolna zaczyna przygasać. Pod koniec aktu robi się zmierzch. Kasia rzuca się do Profesora, jak do kogoś, niosącego ratunek. Opiera się o jego ramię i mocno przytula. Profesor obejmuje ją, idą razem i siadają na łóżku./

Profesor: Czekasz na kogoś?

Kasia: Już nie czekam.

Profesor: Czy on już nigdy nie przyjdzie?

Kasia: To ty....wiedziałaś? Idłatego przyszedłeś tutaj, na to wysokie piętro, taki chory?

Profesor: Czulem, że jestem ci bardzo potrzebny. Czy byłem ci potrzebny?

Kasia: /tuląc się do niego i całując jego rękę./

Byłeś. A skąd wiedziałaś?

Profesor: No, widzisz. Mamy przecież oddawna taką prywatną stację telepatyczną.

Kasia: Widziałaś go?

Profesor: Widziałem, ale postarałem się, żeby mnie nie zobaczył. Czy wrócił do tej swojej niewiernej żony?

Kasia: Ja sama powiedziałam, żeby tam wrócił. Tam, widzisz, będzie dziecko....

Profesor: Ach, tak....

Kasia: Czy ja dobrze zrobiłam?

Profesor: Tak. Nie do nas należy odsłanianie takich tajemnic.

Trzymaj się, moje śliczne, mądre dziecko. Ja jeszcze może trochę pożyję. Będziemy razem. Jestem już stary, ale widzisz, być długo starym, to jedyny sposób, żeby jeszcze troszeczkę pożyć.

Kasia: No, przecież nie zrobisz mi tego, tatusiu, żeby teraz umierać.

Profesor: /z wytwornym ruchem dworaka/.

Zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy, o pani!

Kasia: /uśmiechając się przez łzy/.

Pamiętaj, że mi to obiecałeś i dotrzymaj.

Co jabym bez ciebie robiła? /przytula policzek do ramienia ojca ruchem wielkiego zmęczenia/.

Profesor: /patrzy przed siebie, gładząc włosy Kasi/.

Zapomnisz..... wszystko można zapomnieć...zobaczysz....

Kasia: Dla innej będzie pisał swoje kołysanki.

Profesor: A ty pamiętaj, że masz dwoje dzieci. Cikę, bo ona niema nikogo na świecie. Mnie, starego niedołęgę i tyle sierot, Kasiu, tyle sierot, co zostały w Warszawie.....

Kasia: To prawda....

Scena X.

/Profesor, Kasia, później Cika i Jadwiga/.

/Głosy na schodach, po chwili wchodzi obie dziewczyny/.

Cika: Pani Kasiu, Dziadku, patrzcie, kogo ja wam prowadzę! Jadzia we własnej osobie z obozu! Z numerem, wytatutowanym na ręce!

Jadwiga: /blada, ubrana w jakieś przygodne szmatki/.

/nieśmiało/. Czy mogę się przywitać?

Kasia: /serdecznie/. Oczywiście! /całuje ją/

Profesor: /całuje ją w czoło/. Dawno pani wróciła?

Cika: /gada za Jadwigą/. W tej chwili właśnie, z pociągu/.

Nic nie wiedziała, że jej rodzice są w Katowicach.

Profesor: Ale, gdzie pani będzie spała dzisiaj?

Jadwiga: Właśnie. Co ja ze sobą zrobię? Ja nie mam nic

pieniędzy.

Kasia: U nas się pani prześpi, naturalnie. Zajmij się

panią, Cika, ja już idę z dziadkiem do domu.

/do Jadzi/. My tu niedaleko mieszkamy.

Jadwiga: Bardzo pani dziękuję.

Profesor: Dowidzenia, dzieci!

Cika i Jadwiga: Dowidzenia!

/Profesor wychodzi, oparty na ramieniu Kasi/.

Jadwiga: Scena XI.

Jadwiga i Cika.

Cika: Siadaj, no, stara!

/Jadwiga siada/.

Cika: Gdzieś była? Daleko?

Jadwiga: Lepiej nie pytaj. Było strasznie, ale jeszcze o tym mówić nie można. Jestem zresztą nieluszką zmęczona.

Cika: Zaraz idziemy. Zmądrzałaś chyba, nie?

Jadwiga: /z uśmiechem/. Bardzo. Oj, żeby to wszyscy tak zmądrzeli! Jak jechaliśmy okrętem ze Szwecji, to

właśnie przemawiał Churchill. Niektóre z nas mówiły między sobą: Jakby mu świetnie zrobił jeden chociaż rok Oświęcimia!

Cika: O, my tu mówimy to samo! Dziadek powiedział jeszcze 3 lata temu, że my się z nimi nigdy nie zrozumiemy. I rzeczywiście.

Jadwiga: To ty jesteś u Kasi?

Cika: Tak, przygarnęli mnie. Oni są niesłychanie dobrzy. Pani Sapalska, pamiętasz, ta, co miała Jasiulka?

Jadwiga: /z uśmiechem/. Pamiętam, naturalnie.

Cika: Właśnie ona mówiła zawsze: Profesor i Kasia to zawsze z każdej sytuacji wyjdą bez butów, bo je komuś podarują po drodze. Mam szalone zobowiązania, rozumiesz? Oni na mnie stawiają, ja ich przecież nie mogę zawieźć, muszę się świetnie uczyć. Wogóle w Warszawie jest tyle do roboty!

Jadwiga: Jakież tu okropne zniszczenie!

Cika: Dziś? Omoja miła, to trzba było widzieć pół roku temu! My jesteśmy bardzo dumni z tego, że to zostało zrobione, co jest w tej chwili. Mnóstwo ludzi zdradziło Warszawę, nie wierzyli, że będzie odbudowana, krakali nad gruzami, jak kruki.

Uciekli wtedy, a teraz wracają i płaczą, że nie mają gdzie mieszkać. Trzeba było tu siedzieć.

Do szkoły wracasz?

Jadwiga: Naturalnie. Przed powstaniem miałam zdawać maturę.

Cika, jak teraz jest szkoła?

Cika: Szkoła? O, bycza! Nauczycieli brak, podręczników brak, ławek brak, opkału brak, ale jak my się chcemy teraz uczyć!

Jadwiga: Pewnie. Stracone lata!

Cika: Właśnie, widzisz, tyle czasu straconego, na przykład ja w tej fabryce. Powiadami ci....

Scena XII

Wojciech: / Wojciech zagląda przez drzwi wybite/.
Jest tu kto?

Cika: Jest Jadzia. Widział pan Wojciech? Wróciła ze Szwecji.

Wojciech: /wchodzi i podaje rękę Jadzi/.
Ano, to pięknie.

Cika: I z obozu. O, pokaż, Jadzia rękę z tym tatuowanym numerem. Ciemno już. Nic nie widać.

Jadwiga: Pan Wojciech po dawnemu domu pilnuje?

Wojciech: /oparty o drzwi promienieje triumfem/.
A po staremu. A dziś my z panną Ciką tę zółzę Drychlewiczową złapali!

Cika: Właśnie, ty nie nie wiesz. Tylko, że to Wojciech sam złapał! Wyobraź sobie, jesteście z Kasią w ^{tej} kuchni popołudniu, a tu się nagle zjawia Drychlewiczowa.

Jadwiga: Co za tupet!

Wojciech: A właśnie.

Cika: Najechał po nią wspaniały samochód ze Szczecina, w samochodzie pełno wytwornych panów, starosta, baba już się ma zamiar wpakować do samochodu, a tu nagle, jak z pod ziemi wyrasta Wojciech....

Wojciech: Z milicjantami. I powiadam: "Sługa wielmożnej pani. My jesteśmy tu na paniom od powstania czekali!" Strasznie pomstowała i te kawalery w samochodzie także samóważniaków odstawiali, ale ja się słowko rzekłem z kim mają okoliczność. To im zara mina zrzędzła, przy motorku pomajdrowali, gazu dali i fyrkli na ten Szczecin.

Cika: Świetnie, świetnie!

Jadwiga: Ale to Wojciech zuch!

Wojciech: A ona: /naśladując Drychlewiczową dyszkantem/. "Zasłużonych obywateli krzywdzą, ja się poskarzę panu pułkownikowi". A ja mówię: "Chłopaki trzymajcie babę mocno, bo Fiszer na Mokotowie z herbatą na nią czeka". To ją wzięli między siebie, /przy-mrużając jedno oko filutecznie/, zdziębko łagodniej,

perswazji przyłożyli ipoleciała święskim klusem na Rakowiecką. Tylko, że prędko szli, to aż rypała po bruku w tych kołtunach.

Jadwiga: W koturnach, chciał pan Wojciech powiedzieć?

Wojciech: O, to, to! Mówię, że w kołtunach. A dryp, dryp., a dryp, dryp, po tych kocich łepkach, a chłopcy za nią. No, czas spać. /wytrząsa popiół z fajki/. Idźcie, panny spać, bo jutro rano trzeba wstać do roboty.

Jadwiga: To pan Wojciech tu śpi?

Wojciech: A tu...Moja chałupa zavalona ze szczętem. Ale, jak się ściemni, to muszę na własnym sienniku siedzieć, bo nasze warszawiaki naród strasznie na sienniki łakomy.

Cika: A bo tyle ludzi niema gdzie, ani na czym spać!

Wojciech: He, w wojnę też takie byli. Mało to Niemcom broni nakradli? Już taka warszawska natura. Jedną ręką portfel wytnie gościowi tyletkę, a drugą rzuci w czołg butelkę z benzyną i już pod tym czołgiem zostanie. Ale to jest mój naród!

Cika: Dobranoc, panie Wojciechu!

Jadwiga: Dobranoc!

Wojciech: Dobranoc. Może i będzie dobra, choć mnie
zdżziebko w kościach łamie. Musi na deszczu.
Ale dzień, to był bardzo dobry. Kupe gruzu się
sprzątało, ziemi kawał skopałem, zaraza siedzi
w kreminalu.

/Cika i Jadwiga wychodząc/. Dobranoc!

Scena XIII.

Wojciech: /sam/. Jest już prawie zupełnie ciemno.
W dziurze na ścianie pojawia się łagodny blask
księżycy. Wojciech siada na łóżku, zapala
fajkę i pyka. Rozżarzony ogieniek połyska na
tle zmierzchu.

Wojciech: /mrucząc/. Dobry był dzień....

K U R T Y N A.